NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincy

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 22 września 1906 r. Nr. 38.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi...

(Treść na stronie 2).



Treść numeru: Pogrom w Siedlcach. — Pobyt ministra kolei w Galicyi. — Odwiedziny ministra handlu w Krakowie. — Dowód rozwoju idei sokolej. — Odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki w Samborze. — Zjazd pocztmistrzów. — W obronie rękodzieł. — Ognista przestroga. — Zwykłą śmiercią! — Stracenie rewolucyonistki. — Siemionowcy i ich wódz. — Nawet w pięknej Szwajcaryi. — Lwowianin grand-rabinem w Transvaalu. — Z bruku lwowskiego. — Ajent policyjny. — Późna zemsta i t. d.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi...

I znowu krwawa karta przybyła do księgi dziejów, karta podobna do Nocy św. Bartłomieja, do Nieszporów Sycylijskich... Tak wiekopomnym pozostanie w historyi moment tragiczny, któremu na imię: Pogrom w Siedlcach — a któremu podobnych było, niestety, już kilka dat krwawych w krótkim okresie początków wieku XX.

Dzienniki są od tygodnia przepełnione rozdzierającymi serce opisami smutnych wypadków siedleckich. Nie będziemy tu powtarzali tych strasznych szczegółów, znanych Czytelnikom z pism codziennych. Illustracye nasze zresztą mówią same wymowniej od słów...

Natomiast odczuwając, iż po okropnem nieszczęściu, jakie stało się w Siedlcach, potrzeba w tej chwili nie słów a czynów, czynów chrześcijańską miłością bliźniego nakazanych, zamieszczamy w streszczeniu odezwę „warszawskiego komitetu niesienia pomocy ofiarom wypadków siedleckich“, ogłoszoną w pismach codziennych w Warszawie:

„Współobywatele! Miasto Siedlce, około 28.000 dusz liczące, przez trzy dni ostrzeliwano. Setki trupów i rannych, dobytek ograbiony, domy liczne w zgliszczach od ognia lub w ruinie.

A czy wiecie, co znaczy przez całą noc jedną i cały dzień następny i znowu przez noc i dzień i jeszcze przez dobę całą oczekiwać każdej chwili śmierci?

Czy czujecie z temi matkami, które czekają przez nieskończone chwile, czy już w następnej drogie tulące się do niej dziatki nie zginą?

Czy wy odczuwacie, co dzieje się w sercach i mózgach żon, gdy na dworze zewsząd i bezustannie grzmią śmierć siejące strzały, a mąż, ojciec dzieci, do domu nie powraca? Co się dzieje w sercach i mózgach mężów, dzieci, gdy matki z miasta nie widać?

Czy wyobrażacie sobie dość żywo zamęt trwogi i bolącej troski dzieci, gdy oboje rodzice są poza domem, a tam na ulicach zabijają!

Czy wy widzicie drgawki przedśmiertne i czy słyszycie rzężenia ostatniej walki życia najnieszczęśliwszych z ofiar — zaiste, najnieszczęśliwszych, albowiem wszyscy pozostali przy życiu, wszyscy, którzy nad umierającymi lub umarłymi płaczą i zawodzą i włosy w bezbrzeżnym bólu rwą i szarpią na sobie szaty, spostrzegają przed sobą — ledwie, że minął ich anioł śmierci — okrutniejsze jeszcze widmo nędzy i głodu! Widmo zupełnej bezradności wobec strasznego, dla pozbawionych pracy i środków, jutra!

Straszny ten pogrom i wywołany nim gwałtowny wstrząs układu nerwowego Siedlczan musi w następstwie pozostawić ogólny, długotrwały rozstrój chorobliwy nerwów, liczne choroby serca, wzmożenie istniejących już niedomagań fizycznych i odbić się ujemnie na zdolności zarobkowej ludności.

Wy, którzy jesteście ludźmi, wy, w których sercu płonie ogień święty miłości bliźniego, poczucie sprawiedliwości i braterstwa, otwórzcie serca wasze osłupiałej z bólu Braci siedleckiej, rozewrzyjcie ramiona bratnie i gdy nie możecie powrócić im ceny krwi, łez i cierpienia, odwróćcie od niej mękę głodu i zimna, nędzy i choroby! A pospieszajcie! pospieszajcie, bo tu blizko za widmem nędzy, kroczy anioł śmierci!

Komitet“.

Jednocześnie zawiązał się i na miejscu w Siedlcach komitet pomocy, który przyjmuje składki pod adresem adwokata Stanisława Sunderlanda, lub też adwokata Chrzanowskiego.

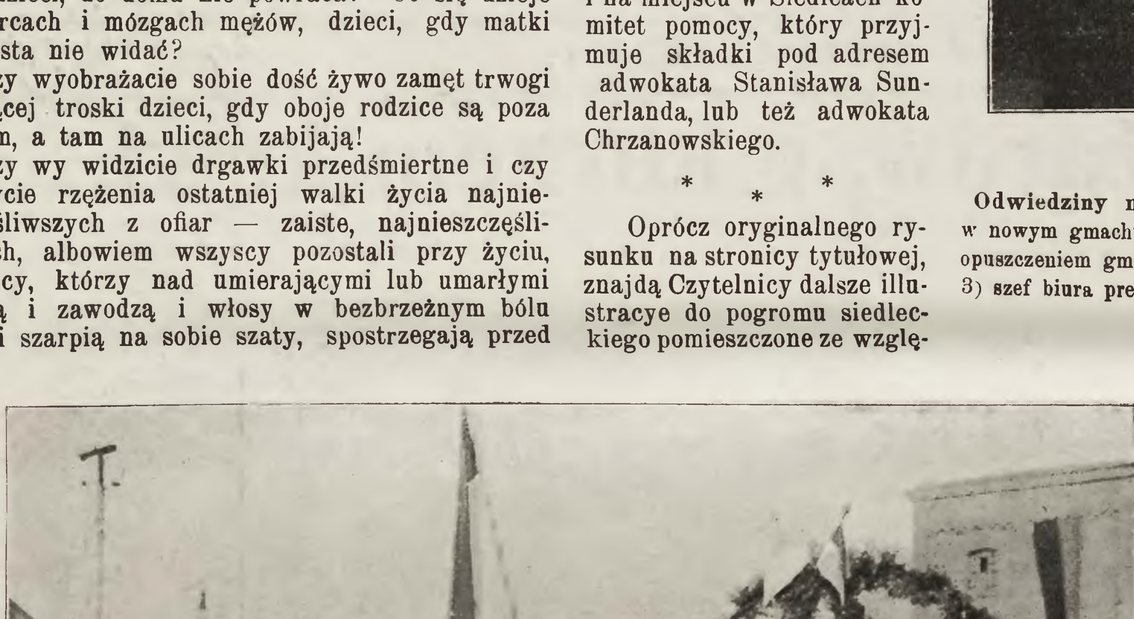
* * *

Oprócz oryginalnego rysunku na stronicy tytułowej, znajdą Czytelnicy dalsze illustracye do pogromu siedleckiego pomieszczone ze względów technicznych na stronicach 14 i 15. Są to fotografie zdjęte na miejscu przez wysłanego do Siedlec umyślnie dla „Now. Illustr.“ fotografa z Warszawy.



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Odwiedziny ministra handlu w Krakowie: Z pobytu ministra dra Forzta w nowym gmachu krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej; w przedsionku przed opuszczeniem gmachu: 1) minister dr Józef Forzt; 2) del. namiestnictwa Fedorowicz; 3) szef biura prezydyalnego w ministerstwie, radca dworu dr. Alfred Friess; 4) radca Izby handlowej M. Dattner.



Fot. aparatem red. „Now. Illustrowanych“ W. Lis.

Odwiedziny ministra handlu w Galicyi: Minister dr Forzt zwiedza fabrykę sody amoniakalnej w Borku Fałęckim: chwila powitania gościa przez radcę B. Libana. 1) Minister Forzt; 2) delegat namiestnictwa Fedorowicz 3) starosta podgórski hr. Starzeński; 4) inspektor przemysłowy dr Kremer; 5) radca cesarski Bernard Liban; 6) dyrektor fabryki Władysław Liban.

Odwiedziny ministra handlu w Krakowie.

W niespełna 24 godziny po odjeździe ministra Derschatty przybył do Krakowa w piątek po godz. 8 wieczór minister handlu dr Forzt. Na dworcu oczekiwał go namiestnik hr. Potocki, delegat namiestnictwa dr Fedorowicz, prezydent miasta dr Leo, prezydyum Izby handlowo przemysłowej oraz przedstawiciele dyrekcyi kolejowej, dyrekcyi poczty itd. Po wyjściu z wagonu minister przywitał się z namiestnikiem i przeszedł do salonu na dworcu, gdzie przywitał się ze wszystkimi osobami, które czekały na jego przybycie, poczem udał się do Grand hotelu, gdzie zamieszkał.

Do pobytu żadnego ministra w Krakowie nie przywiązywano tyle wagi i nadziei, jak właśnie do pobytu dra Forzta. W ręku ministra handlu leży bowiem mnóstwo spraw, dla Galicyi niezmiernego znaczenia. Pierwszą, najważniejszą sprawą, jest ustawowo zastrzeżona budowa kanałów, dróg wodnych, dla handlu austryackiego w ogólności, dla Galicyi zaś w szczególności pierwszorzędnej wagi. Wiadomość, że minister przybył właśnie specyalnie w tym celu do Krakowa, aby osobiście zbadać postęp prac w kierunku budowy kanałów, poruszyła całą ludność i to było przyczyną, ze zainteresowanie się ludności pobytem ministra wzrosło niebywale.

Czynności urzędowe w Krakowie rozpoczął minister od zwiedzenia ekspozytury dyrekcyi dróg wodnych. Do biura tego urzędu przybył dr Forzt o godz. 9 rano w sobotę, przyjęty przez naczelnika oddziału, radcę budownictwa Czerwińskiego, naczelnika administr. p. Mączyńskiego i grono urzędników. Minister dłuższy czas przeglądał i badał ze swego stanowiska urzędowego plany skanalizowania Wisły pod Krakowem, mające na celu ochronienie miasta przed powodziami oraz plany odnogi kanału Zator-Samborek-Kraków. Przy roz

patrywaniu planów skanalizowania miasta, prezydent miasta dr Leo podniósł różne postulaty w interesie miasta, jak przeniesienie koryta Rudawy, zaznaczając z naciskiem, że ze względu na coroczne powodzie jest rzeczą niesłychanie ważną jak najrychlejsze przedłożenie projektu namiestnictwa i powzięcie stanowczej decyzyi co do ewentualnego przekopu w Dębnikach. Minister przyrzekł zająć się tą sprawą jak najenergiczniej.

O godz. pół do 11 przybył minister do nowego gmachu Izby handlowo przemysłowej przy ul. Długiej. Tam we wspaniałej sali obrad na I piętrze przyjęło ministra prezydyum Izby z prezesem p. Mendelsburgiem i wiceprezesem Janem Götz-Okocimskim na czele. Wchodząc do sali, minister powitał obecnych „Dzień dobry panom“, poczem p. Götz-Okocimski powitał ministra dłuższem przemówieniem, zaznaczając, że Izba handlowa, a z nią kraj cały przywiązuje do pobytu ministra wielkie znaczenie, co zaś do postulatów, jakie Izba przedkłada ministrowi, największego znaczenia jest sprawa budowy dróg wodnych, co do której sprawy cały kraj nie żąda niczego więcej, jak tylko przeprowadzenia całej dotyczącej ustawy z roku 1901. Koleje alpejskie, rozszerzenie portu w Tryeście, sprawy, związane ściśle z budową dróg wodnych w Galicyi, zostały już załatwione, ponieważ zaś wszystkie kraje koronne mają jednakie prawa do większych inwestycyjnych świadczeń ze strony państwa, więc i Galicya żąda przeprowadzenia ustawy, zapewniającej jej rozwój handlu. Na to przemówienie minister podziękował po polsku, poczem odpowiedział szerzej po niemiecku, zaznaczając, że głównym celem jego przybycia do Krakowa, jest sprawa budowy dróg wodnych, której całą poświęci uwagę. Kiedy minister opuszczał gmach Izby, w przedsionku odfotografował go dla naszego pisma fotograf „Now. Illustr.“ W. Lis.

Następnie minister udał się do fabryki wyrobów żelaznych L. Zieleniewskiego i zwiedził ją szczegółowo, oprowadzany przez właścicieli. Potem zwiedził jeszcze gmach poczty przy ul. Kolejowej i urząd pocztowy na dworcu, a o godz. 12 rozpoczął w sali przyjęć w starostwie udzielać audyencyi, które się przeciągnęły do godz. 2 po południu. Po audyencyach odbyło się u delegata Fedorowicza śniadanie na cześć ministra.

O godz. 4 po południu minister przybył nad Wisłę i pojechał statkiem rządowym w dół rzeki, celem rozpatrzenia się w sytuacyi i zbadania postulatów Krakowa co do skanalizowania Wisły i usytuowania przyszłego portu. Dojechano poniżej Grzegórzek. W powrocie przesiadł się p. minister do powozu i z całem towarzyszącem mu gronem osób zwiedził fabrykę sody amoniakalnej w Borku Fałęckim, przyjęty przez właścicieli pp. Bernarda i Władysława Libanów, oraz będącą na ukończeniu budowy walcownię żelaza i stali pp. Epsteinów, Kuha i Ehrenpreisa.

W Borku Fałęckim fotograf nasz zrobił dwa zdjęcia, z których jedno przedstawia grupę osób towarzyszących ministrowi z drem Forztem na czele przed fabryką sody amoniakalnej, drugie zaś chwilę, kiedy ministra wita właściciel fabryki radca Liban.

Wieczorem o godz. 7. odbył się w sali starego teatru obiad, wydany na cześć ministra przez miasto Kraków, poczem o godzinie 10 minister Forzt odjechał z powrotem do Wiednia.



Fot. aparatem redakcyjnym dla „Now. Ill,“ W. Lis.

Odwiedziny ministra handlu w Krakowie: Minister zwiedza fabrykę sody amoniakalnej w Borku Fałęckim; grupa przed drzwiami laboratoryum, ustawiona za zgodą ministra: 1) dr. Forzt; 2) delegat Fedorowicz; 3) radca dworu dr. Friess; 4) sekretarz ministerstwa dr. Juliusz Twardowski; 5) starosta hr. Starzeński; 6) Generał zbrojmistrz Chrystyan von Steeb; 7) radca cesarski Bernard Liban; 8) dr. A. Benis, sekretarz Izby handlowej; 9) Maurycy Dattner, radca Izby handlowej.

Echa zjazdu dziennikarzy.

W poprzednim numerze zamieściliśmy szereg fotografij, illustrujących świeżo odbyty na Morawach w Węgierskiem Hradyszczu zjazd dziennikarzy słowiańskich.

W treściwym liście omówił też wtedy na naszą prośbę przebieg tego dorocznego kongresu prasy słowiańskiej, jeden z jego uczestników, a znany publicysta polski, p. Grzegorz Smólski.

Nie mając nic już do dodania do jego sprawozdania, zamieszczamy dziś jeszcze jedną rycinę ze wspomnianego zjazdu.

Jest to grupa uczestników kongresu wraz z jego prezydyum, w skład którego wchodzili jak wiadomo, pp. Hurban-Wajański (prezes), Polak dr Ostaszewski Barański i Chorwat dr Janiczkowicz (wiceprezesowie) oraz Czech Hovorka (sekretarz).



Echa zjazdu dziennikarzy: Grupa uczestników zjazdu dziennikarzy słowiańakich w Węgierskiem Hradyszczu na Morawach: między innymi znajdują się tu pp.: 1. Hurban-Wajański, prezes zjazdu; 2. Redaktor „Dziennika Pol.“ ze Lwowa, dr. Ostaszewski-Barański, I wiceprezes; 3. Chorwat, dr. Janiczkowicz, II wiceprezes; 4. burmistrz dr. Pitra; 5. F. v. Hovorka, sekretarz zjazdu; 6. Poseł dr. Baxa; 7. Fichtenholz, przedstawiciel ros. agencyi telegr.; 8. Humorysta polski Stasiak; 9. Redaktor „N. Reformy“ z Krakowa, Władysław Prokesz; 10. dr. Wergun; 11. Kwaszeski, korespondent pism polskich z Wiednia; 12. Grzegórz Smólski, wybitny publicysta polski w Wiedniu; dr. Blaho, przywódca posłów słowackich w Sejmie węgierskim.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

na język polski przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEN WATSONA

ROZDZIAŁ I.

Sherlock Holmess.

W roku 1878 złożyłem egzamin lekarski na uniwersytecie londyńskim i przebyłem w Nelley przepisany kurs dla wojskowych lekarzy. Niedługo potem przydzielono mnie do mathumberlandzkiego oddziału fisilierów w Indyach. Zanim przybyłem jednak na miejsce przeznaczenia, wybuchła właśnie druga wojna afgańska i wkrótce po wylądowaniu mojem w Bombayiu dowiedziałem się, że oddział mój, przeszedłszy górskie wąwozy, wdarł się już dobrze w kraj nieprzyjacielski. W towarzystwie wielu oficerów znajdujących się w podobnem położeniu, szedłem śladem mego korpusu, dogoniłem go szczęśliwie w Kandahar i objąłem moją nową posadę.

Wyprawa, w której wielu moim kolegom cześć i liczne odznaki w udziale przypadły, przyniosła mi tylko nieszczęście i wiele zawodów. Zaraz w pierwszej bitwie strzaskała mi kula łopatkę, i byłbym wpadł niezawodnie w ręce rozbójniczej bandy, gdyby nie Murray, mój wierny towarzysz, który z narażeniem własnego życia, porwawszy mnie z sobą na konia, uniósł poza angielską linię bojową.

Długo leżałem chory i podniosłem się z łoża boleści dopiero wtedy, gdy przewieziono mnie z całym szeregiem rannych oficerów do wojskowego szpitala w Peshawur. Przyszedłem do siebie o tyle, że mogłem przechadzać się po sali i oddychać świeższem powietrzem na werandzie szpitalnej. Nagle wpadłem znowu w tak gwałtowną febrę, że miesiącami całymi wątpiono o mojem ocaleniu. Skoro choroba przesiliła się wreszcie i powróciła przytomność, znajdowałem się w stanie takiego osłabienia i upadku sił, że lekarze postanowili odesłać mnie bezzwłocznie do Anglii. W miesiąc później wylądowałem okrętem wojskowym w Portsmouth. Zdrowie moje stargałem zupełnie na wojnie, zezwolił mi zatem rząd opiekuńczy na dziewięciomiesięczny urlop, w ciągu którego spodziewałem się przyjść troszkę do siebie.

Krewnych w Anglii nie miałem, postanowiłem więc zamieszkać w jakimś prywatnym hotelu. Na utrzymanie miałem pół szylinga dziennie, lecz że nie umiałem odmawiać sobie, zaczęły mi moje finansy wkrótce trosk przysparzać. Poznałem, że albo pozostaje osiąść mi gdzieś na wsi, albo też zmienić dotychczasowy tryb życia. Wolałem ostatnie, wkrótce też musiałem opuścić mój hotel a oglądnąć się za jakiemś mniej ładnem lecz tańszem mieszkaniem.

Właśnie kiedy byłem zajęty wyszukiwaniem odpowiedniego pokoiku, spotkałem się najniespodziewaniej z dobrze znajomą mi twarzą, co dla mnie, nie mającego w dużem mieście nikogo znajomego, było nadzwyczaj przyjemną niespodzianką. W czasie mych studyów uniwersyteckich obcowałem z niejakim Stamfordem, i chociaż nie było między nami wielkiej zażyłości, pozdrowił mnie z prawdziwą serdecznością. Wkrótce siedzieliśmy w pobliskiej restauracyi przy szklance wybornego wina, opowiadając sobie nawzajem swoje przygody.

— „Cóż się to z tobą stało Watsonie!? — zapytał zdziwiony Stamford — niemożliwieś opalony, przytem skóra i kości tylko“!

Opowiedziałem mu krótko moją Odysseję, a on słuchał mnie z wielkiem przejęciem.

— Biedny chłopcze! — powiedział z współczuciem — a cóż teraz zamyślasz robić?

— Szukam mieszkania — odpowiedziałem — chciałbym wynaleźć sobie wygodne a tanie mieszkanie.

— Ciekawe — zakrzyknął Stamford — jesteś dzisiaj drugim z rzędu, który mi to powiada.

— Któż szuka jeszcze?

Jeden z moich znajomych, który pracuje w laboratoryum chemicznem w szpitalu. Skarżył się dzisiaj, że znalazł sobie wspaniałe i nadzwyczaj wygodne mieszkanko, które jednak dla niego samego za drogie podobno.

— Na Boga — powiadam — jeżeli zamierza ponosić połowę kosztów, będę jego współlokatorem. Daleko przyjemniej mieszkać we dwójkę, niż tak samotnie, jak dotąd.

Stamford patrzał ciekawie przez szklanki.

— Kto wie, czybyś przyjął na współlokatora Sherlocka Holmessa, gdybyś go znał — powiada tajemniczo.

— Cóż ci się nie podoba u niego?

— Tego nie powiem! Pod pewnym względem ma tylko ciekawe poglądy i kocha wiedzę. Przytem bardzo uczciwy, o ile wiem.

— Czy doktor?

— Nie! — nie mam pojęcia, czem się właściwie zajmuje. Anatomię zna znakomicie, jest także wybornym chemikiem. Lecz o ile mi się zdaje, medycyny nie studyował. W swoich studyach jest za gorączkowy, może za mało regularnie pracuje, na rozmaitych polach posiada jednak tyle wiadomości, że mógłby mu ich zazdrościć niejeden profesor.

— Pytałeś go o zajęcie?

— Nie! nie należy do kategoryi ludzi, którzy pozwalają się badać; czasami jednak lubi pogadać, jeśli ma ku temu ochotę.

— Chciałbym go poznać - powiedziałem — człowiek, który z zamiłowaniem oddaje się studyom, jest dla mnie mile widzianym towarzyszem. Przy moim obecnym stanie zdrowia nie mogę znieść żadnych hałasów. Miałem ich tyle w Afganistanie, że wystarczą mi pewnie na całe życie. Proszę cię — gdzie mogę go zastać!

— Teraz będzie w laboratoryum. Czasami nie widać go po całych tygodniach, czasami znowu pracuje od rana do nocy. Jeśli życzysz sobie, poszukamy go razem.

Przystałem z chęcią i natychmiast zwróciliśmy się w stronę szpitala.

— Nie przyjmę jednak od ciebie żadnych wymówek, jeśli nie pogodzicie się z sobą — powiedział Stamford, — gdyśmy wsiadali do dorożki — nie mogę ani odradzać ani namawiać ku temu.

— Jeśli nie będziemy dla siebie stworzeni, nic łatwiejszego, jak rozejść się znowu. Ostrożność twoja zdaje mi się przesadzona nieco, coś w tem być musi. Powiedzno! Co masz przeciwko Holmessowi?

— Nic! zgoła nic! zdaniem mojem za bardzo oddany studyom. Graniczy to już z brakiem czucia. Uważam to za niemożliwą i niesłychaną rzecz, żeby dać swemu najlepszemu przyjacielowi dozę najstraszliwszej trucizny, alkaloidu, — nie ze złości — jedynie dla zbadania skutków alkaloidu. Równie ładnie zrobiłby próbę na sobie, to trzeba mu przyznać! Jasność i dokładność wiedzy jest jego namiętnością, ale w jakim celu, i co właśnie studyuje, licho wie tylko.

Przed szpitalem wysiedliśmy z dorożki i przeszedłszy wąską uliczkę, znaleźliśmy się w bocznem skrzydle bardzo rozgałęzionego budynku. Wszystko znałem tutaj dokładnie, nie potrzebowałem już żadnego przewodnika. Szliśmy pustymi schodami, poprzez długi, na biało malowany korytarz, z drzwiami po obu stronach, do których przytykały niższe boczne schody, prowadzące do chemicznego laboratoryum. W wielkiej sali, do której weszliśmy właśnie, zastawione były wszystkie stoły najrozmaitszymi retortami, flaszeczkami i lampkami spirytusowemi, podczas gdy naokoło na ścianach, gdzie okiem rzucić, same flaszeczki najrozmaitszej wielkości i kształtów. Myśleliśmy z początku, że w sali nie ma żywego ducha, później dopiero spostrzegliśmy młodego mężczyznę, który zatopiony w swych eksperymentach, siedział zajęty nad stołem. Na odgłos naszych kroków oderwał się od doświadczenia i podskoczył w górę z radosnym okrzykiem.

— Zwycięstwo! Zwycięstwo! — wołał i szedł ku nam z jakąś retortą w ręku. — Znalazłem ciało chemiczne, które łączy się z ciałkami krwi na pewien osad. Zresztą z żadnym innym związkiem!

Wyglądał tak uradowany, jakgdyby odkrył conajmniej minę złota.

— Mój przyjaciel, doktor Watson — pan Sherlock Holmess — przedstawił nas Stamford nawzajem.

— Bardzo się cieszę, że pana poznaję — mówił Holmes w tonie serdecznym, ściskając mi przytem rękę uprzejmie — pan wprost z Afganistanu, jak widzę.

Spojrzałem zdziwiony na niego.

— Skąd wiesz pan o tem?

— O! to nic niema do rzeczy — zawołał, zacierając ręce z radości — teraz myślę tylko o mej hemoglobinie. Z pewnością pojmuje pan doniosłość mego wynalazku!

— Jako eksperyment chemiczny pewnie rzecz interesująca, czy w praktyce jednak...

— Właśnie w praktyce, w chemii sądowej ma kolosalne znaczenie, służy bowiem do wykazania plam krwi. Proszę niech się pan przybliży!

W gorączce pochwycił mnie za ramię i pociągnął z lekka do stołu, przy którym pracował.

— Musimy mieć troszkę świeżej krwi — powiada, przyczem ukłuł się w palec wielką igłą, zbierając spadające krople do jednej z rurek. — Teraz mieszam to wszystko z litrem wody, stosunek mniejwięcej jeden do miliona, płyn wygląda zupełnie jak czysta woda. Mimo to upragniona reakcya, zdaje się, pojawi się wkrótce. Mówiąc to, wrzucił do próbówki parę drobnych, białych kryształów, przyczem dodał parę kropli jakiegoś przeźroczystego płynu. Woda nabrała natychmiast ciemnego zabarwienia, a na spodzie naczynia pokazał się wkrótce tajemniczy, brunatny osad.

— Patrz pan — zawołał, klaszcząc w dłonie jak dziecko, uradowane nową zabawką.

— I cóż pan na to?

— Zdaje się, że eksperyment udał się panu w zupełności.

— Cudownie! Cudownie! Dawna próba z Guajacmu okazała się wielokrotnie niepewną i kłopotliwą, mikroskopijne badanie kuleczek krwi nie daje najmniejszej pewności, gdy plamy bada się w parę godzin dopiero. Moja metoda da się zastosować zarówno przy skrzepłej jak i świeżej krwi. Gdybym był wcześniej odkrycia dokonał, możnaby pociągnąć do odpowiedzialności setki złoczyńców, którzy z braku dowodów umknęli bezkarnie.

— Czy pan mówi na seryo?

— Bez kwestyi! W kryminalistyce sądowej wszystko obraca się dokoła tego punktu. Nieraz w parę miesięcy po spełnieniu morderstwa pada podejrzenie na kogoś, badają jego ubranie i znajdują krwawe plamy. Mogą to być plamy pochodzące od krwi, mogą być jednak najzwyklejsze sobie plamy od owoców lub brudu. Niejeden znawca nałamał sobie głowy i to tylko dlatego, że brakowało niezbitych dowodów. Skoro mają jednak środek Hollmessa Sherlocka, wszelkie trudności usunięte.

Oczy błyszczały mu niezwykłym ogniem, rękę położył na sercu i kłaniał się tajemniczo uroczystym dygiem, jak gdyby w duchu widział się przed tłumem ludzi, bijących mu szalone brawo.

— Można panu powinszować — powiedziałem, zdziwiony jego słowy.

— Gdyby poczyniono próbę przeszłego roku — mówił zapalony — z pewnością kosztowałoby to drogo masona z Braadford, dowiedzionoby także oskarżonemu Müllerowi, jak też Lefeorowi z Montpellier i Samsonowi z Nowego Orleanu ich winy. Mogę dać panu tysiące przykładów, w których metoda moja okazałaby się niezrównaną.

— Jesteś pan chodzącym kalendarzem złoczyńców — zaśmiał się Stamford — wydaj pan dzieło, dotyczące kryminalnej statystyki.

— Pewnie wartoby je przeczytać — odpowiedział Holmess, który naklejał właśnie plaster na zraniony palec.

— Muszę bardzo uważać — dodał, objaśniając nam dalej, gdyż mam dużo do czynienia z truciznami.

Gdy podniósł rękę do góry, spostrzegłem, że w wielu miejscach miał ranki, zabarwione najrozmaitszymi kwasami.

— Przychodzimy z interesem — powiedział Stamford, podsuwając mi trójnożek, i zajmując równocześnie miejsce.

— Przyjaciel mój szuka mieszkania, a ponieważ pan chciałeś także z kimś drugim zamieszkać, spodziewam się, że jestem pomocnym wam w tem utrapieniu.

Sherlock Holmess przystał z ochotą na propozycyę.

— Spodobało mi się ogromnie pewno mieszkanko na Baker Street, zdaje się, że będzie nam bardzo wygodnie. Pan nie czuje odrazy do papierosów?

— Przeciwnie! Jestem namiętnym palaczem!

— Znakomicie się składa. Następnie mam bardzo często rozmaite kwasy u siebie, których potrzebuję do eksperymentów. Czy to panu nie przeszkadza?

— Bynajmniej!

— Poczekaj pan! Jakiż błąd mam jeszcze? Aha! Czasami dostaję napadów melancholii, i dzień cały wówczas ust mych nie otworzę. Niech mi pan tego nie bierze za złe! Niech się pan wtedy zupełnie o mnie nie troszczy a napad przejdzie niebawem niespostrzeżenie. Tak! no, teraz kolej na pana! Gdy dwóch ludzi zamierza razem mieszkać, najlepiej będzie, gdy będą wiedzieli, czego się mają spodziewać po sobie!

Musiałem śmiać się z tej genialnej spowiedzi.

— Co do mnie, to trzymam sobie młodego chłopaka do obsługi, hałasu nie znoszę, gdyż mam przeczulone nerwy; często śpię do południa i jestem też zwykle ogromnie ociężały. W innym czasie myślałem o innych obowiązkach i ciężarach, teraz wolny jestem już od nich.

— Czy nie będzie dla pana przykrą gra na skrzypcach? — zapytał mnie jeszcze zakłopotany.

— To zależy od muzyka! Dobra gra na skrzypcach jest pokarmem bogów — zła jednak...

— No pewnie! pewnie! — zawołał zadowolony — myślę, że sprawa załatwiona — to znaczy, jeśli pokój wyda się panu dogodny.

— Kiedyż możemy oglądnąć mieszkanie?

— Przyjdź pan po mnie jutro w południe, pójdziemy razem i załatwimy wszystko po myśli.

— Dobrze! Zatem jutro punkt 12 — powiedziałem, ściskając dłoń jego na pożegnanie.

Pozostawiliśmy go przy jego chemikaliach i udaliśmy się z powrotem do hotelu.

— Wyjaśnij mi tylko — zagadnąłem Standforda, stając nagle na ulicy — co mogło wprowadzić go na myśl, że właśnie przybyłem z Afganistanu?

Przyjaciel mój zaśmiał się tajemniczo.

— Niejeden chciałby to wiedzieć, w jaki sposób dowiaduje się Sherlock Holmess o pewnych rzeczach. Posiada ku temu specyalne uzdolnienie.

— Wtem tkwi jakaś ciekawa tajemnica — zawołałem rozbawiony. — Ależ to w wysokim stopniu ciekawe. Jestem ci zobowiązany za nową znajomość. Najlepszem studyum dla człowieka pozostanie zawsze człowiek.

— Badaj go tylko -- odparł z uśmiechem Stamford. — Będziesz miał twardy orzech do zgryzienia. Pójdę w zakład, że zna cię już lepiej, niż ty jego.

Na najbliższym rogu pożegnaliśmy się serdecznie a ja powlokłem się osamotniony do domu.

ROZDZIAŁ II.

Sztuka wydawania końcowych wniosków.

Umówione zwiedzanie apartamentu przy BakerStreet Nr. 221 b. odbyło się nazajutrz. Podobał mi się niezmiernie; wielki, pełen powietrza, pokój mieszkalny, przytykający do dwóch sypialni, był wspaniale umeblowany i jasny niezwykle gdyż światło wpadało przez dwa duże okna.

Cena mieszkania, rozdzielona między nas obu, wydała się bardzo niska, wynajęliśmy zatem mieszkanie zaraz, postanawiając sprowadzić się wkrótce.

Tego samego wieczora sprowadziłem moje rzeczy z hotelu, a za mną postępował Sherlock Holmes z całą masą kuferków i pudełek. W pierwszych dniach byliśmy żywo zajęci rozpakowywaniem naszych rzeczy i umieszczaniem ich w pokoju. Skoro ukończyliśmy tę żmudną pracę, przyzwyczailiśmy się zwolna do nowego życia.



...Gdyby nie Murray, mój wierny towarzysz, który z narażeniem własnego życia, porwawszy mnie z sobą na konia, uniósł poza angielską linię bojową...

Z Holmessa był człowiek, z którym łatwo było wyżyć: z natury cichy i regularny, rzadko pozostawał wieczorem po dziesiątej, a kiedy zjawiłem się rano, wyszedł już dawno, przygotowawszy sobie śniadanie. Dzień cały spędzał w laboratoryum chemicznem albo sali sekcyjnej, czasami odbywał wycieczki, podczas których zapędzał się w najbardziej zapadłe ulice. W działaniu był niezmordowany, jak długo miał ochotę do pracy; od czasu do czasu następował jednak w naturze jego ciekawy zwrot; wtedy leżał całemi godzinami na sofie, nie ruszając się i nie mówiąc ani słowa. Oczy jego nabierały dziwacznego, marzącego wyrazu, iż w końcu zbudziło się we mnie podejrzenie, że zażywa jakiś upajający środek, gdyby nie umiarkowany i spokojny tryb życia, który podobne przypuszczenie wykluczał.

Po pierwszych tygodniach naszego wspólnego pożycia obudziła się we mnie dążność i niczem niepohamowana chętka zbadania celu, do którego zmierza ten tajemniczy dla mnie człowiek. Już jego zewnętrzny wygląd uderzał niezmiernie.

Był niezwykle wysoki i ogromnie szczupły; jego broda, ostro wystająca, zdradzała stałość charakteru, wzrok miał niezwykle bystry, przenikający do głębi, wyjąwszy okres zupełnego zmęczenia i wstrzymania się od pracy — a ostry, orli nos nadawał jego twarzy coś wyzywającego i stanowczego.

Rąk nie oszczędzał, nosiły ustawicznie ślady atramentu i chemikaliów; niejednokrotnie też miałem sposobność podziwiać jego zadziwiającą zręczność, gdy eksperymentował na swych fizykalicznych instrumentach.

Nic więc dziwnego, że ciekawość moją poruszył do głębi, że nieraz próbowałem przełamać surową obojętność, którą posługiwał się zawsze, ilekroć zgadało się coś o jego własnej osobie. Tajemniczość, jaką osłonił się mój towarzysz, była tem większą, że życie moje ówczesne bez wytkniętego celu i planu, dawało mi mało sposobności do rozrywek.

Stan zdrowia mego pozwalał mi wychodzić jedynie podczas niezwykle pięknej pogody a przyjaciół, którzy odwiedzając mnie niekiedy, mogliby wnieść w jednostajne i monotonne me życie nieco zmiany i rozrywki, nie miałem.

Że Holmess nie studyował medycyny, słyszałem z jego własnych ust. Prawdopodobnie nie ukończył też żadnego regularnego działu wiedzy, któryby mu otworzył w ten sposób wrota do świata uczonych. Mimo to oddawał się jakimś studyom z niepohamowanym zapałem i posiadał w pewnych gałęziach wiedzy tak rozgałęzione i obszerne wiadomości, że mnie czasami wprowadzał w podziw. Czyżby to było rzeczą możliwą, aby człowiek pracował z takiem natężeniem, uczył się tak gorączkowo, nie mając jakiegoś jasno wytkniętego celu?

Praca bez planu jest przeważnie powierzchowna, kto jednak napełnia swą głowę rozmaitego rodzaju drobiazgami, nie czyni tego bez ważnego powodu.

Jego ciemnota i brak pewności na pewnych polach wiedzy była równie zadziwiająca,,jak gruntowna znajomość innych gałęzi. O astronomii i filozofii naprzykład miał bardzo słabe pojęcie. Choć uderzyła mnie niezwykle jego nieznajomość najpoczytniejszych powieściopisarzy, to jednak zdziwienie moje doszło do szczytu, skoro wyjaśniło się przypadkowo, że miał najmylniejsze wyobrażenie o systemie słonecznym. Jak mogła w 19 wieku znaleźć się jednostka, która nie wiedziała o tem, że ziemia nasza porusza się dookoła słońca, było dla mnie niepojętą rzeczą.

— To pana tak dziwi — zapytał z uśmiechem. Skoro więc dowiedziałem się o tylu ciekawych rzeczach w tak krótkim czasie od pana, postaram się je równie prędko zapomnieć.

— To wszystko zapomnieć?

— Tak jest. Posłuchaj pan! Zdaniem mojem, mózgownica ludzka podobna jest do pustego pierwotnie apartamentu, którą każdy z nas wyposaża dowolnie w meble i rozmaite sprzęty. Tylko głupiec napełnia ten apartament najróżnorodniejszym gratem, który mu tylko drogę zagradza i zabiera przestrzeń na inne, potrzebniejsze rzeczy przeznaczoną. Człowiek rozumny uważa bacznie, co umieszcza w tym apartamencie. Ogranicza się na przyrządy, których potrzebuje do pracy, w tych znowu poczyni wybory i utrzymuje je we wzorowym porządku. Kto sądzi, że mały apartament ma rozsuwalne ściany, błądzi. Niech mi pan wierzy, że przyjdzie czas, kiedy za to, co dołożyliśmy dzisiaj, zmuszeni będziemy zapomnieć wiele z rzeczy, które znaliśmy jeszcze wczoraj dokładnie. Jest tedy kwestyą ogromnej wagi, aby niepotrzebny balast nie wypychał pożytecznych nam rzeczy.

— No, ale system słoneczny — odważyłem się zauważyć.

— Cóż do licha obchodzić mnie to może? — przerwał mi niecierpliwie. — Powiada pan, że ziemia obraca się dookoła słońca. Gdyby obracała się dookoła miesiąca, nie przedstawiałoby to dla moich celów najmniejszej różnicy.

Już miałem na języku pytanie, do jakich celów właściwie zmierza ten człowiek, lecz zatrzymałem je dla siebie, nie chcąc mu sprawiać przykrości.

Rozmowa nasza dała mi tymczasem bardzo wiele do myślenia, począłem wyciągać z niej wyniki końcowe. Skoro przyswajał sobie wiadomości, korzystne dla niego w jego uciążliwej pracy, musiałem przecież z przedmiotów, które znał najlepiej, wyciągnąć wniosek, czemu się właściwie poświęca. Wyliczyłem sobie wszystko dokładnie, co studyował szczególnie gruntownie, co więcej, zrobiłem sobie wykaz specyalnych gałęzi. Ze śmiechem przeczytałem to wszystko raz jeszcze. Brzmiało to: *Duchowy widnokrąg i wiadomości Sherlocka Holmessa.*

1. Literatura: Rozmaicie.
2. Filozofia: Nic.
3. Astronomia: Nic.
4. Polityka: Słabo.
5. Botanika: Rozmaicie. Znakomicie obeznany z rozmaitemi truciznami, belladoną, opium itp. Znajomość roślin właściwa — nic.
6. Geologia. Wiele praktycznych wiadomości, ale tylko na pewnem polu. Wszystkie rodzaje ziemi rozróżnia na pierwszy rzut oka. Powróciwszy z wycieczek, potrafi po rodzaju i barwie plam na popryskanem swem ubraniu oznaczyć dokładnie okolicę Londynu, z której plamy pochodzą.
7. Chemia: Nadzwyczaj gruntownie.
8. Anatomia: Dokładnie ale bez metody.
9. Statystyka kryminalna: Zdumiewająco wielka. Zna, zdaje się, wszystkie szczegóły każdego z morderstw, które popełniono w naszem stuleciu.
10. Gra bardzo ładnie na skrzypcach.
11. Znakomity bokser i fechtmistrz.
12. Gruntownie zna prawa angielskie.

Dalej nie czytałem; potargałem moją listę i gniewny rzuciłem ją w ogień.

— Jakżeż może twierdzić ten człowiek, że wogóle istnieje jakiś zawód, w którym można zużytkować te wszystkie wiadomości i pogodzić je równocześnie — zawołałem. — Daremnie trudzę się nad rozwiązaniem tej zagadki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielki pożar w Kozowej.

Miesiąc wrzesień obfitował znowu w liczne wypadki pożaru. Kilkanaście wsi, zwłaszcza w Galicyi wschodniej, padło znowu ofiarą ognia, w kilku miasteczkach wyrządził ten straszliwy żywioł znaczne szkody. Między innemi najbardziej ucierpiało od pożaru małe miasteczko w powiecie brzeżańskim, Kozowa.



Wielki pożar w Kozowej: Rynek w Kozowej po pożarze

Ogień w Kozowej wybuchł w zaułku, zamieszkanym przez żydów, przerzucił się następnie na południową połać rynku, z którą uporał się w przeciągu pół godziny. Od niej zapaliła się wschodnia połać rynku, tak, iż w przeciągu godziny połowa rynku wraz ze znajdującymi się z tyłu budynkami stała w morzu płomieni. Silny, właściwy jesiennej porze na Podolu wiatr, dmący w kierunku ognia, podsycał jego siłę tak, iż o przerwaniu i umiejscowieniu pożaru mowy być nie mogło. Wiatr dął w kierunku kościoła rzym-kat. Okoliczność jednak, iż kościół stoi na wolnym placu w pewnej odległości od wschodniej połaci rynku była powodem, iż ogień na nim się zatrzymał, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Równocześnie koniec południowej połaci rynku, dopalając się, zagrażał plebanii rzym.-kat. Energiczny ratunek i stare owocowe drzewa, okalające plebanię i tworzące naturalną ochronę, powstrzymały ogień w jego niszczącym pochodzie. Ogółem spaliło się 70 domów. Przypuszczalna szkoda wynosi 800.000 koron.

O rozmiarach katastrofy dadzą Szan. Czytelnikom choćby w przybliżeniu pojęcie załączone obok w dzisiejszym numerze illustracye. Jedna z nich przedstawia ruiny i zgliszcza w rynku w Kozowej, na drugiej zaś widać ruiny dawniej jednej z najpiękniejszych ulic, mianowicie Kolejowej. Odarte, przegryzione ogniem mury, zdają się wołać do nieba o litość i zmiłowanie dla biednych mieszkańców, którzy na zimę zostali bez dachu nad głową.



Zwykłą śmiercią: Generał Dymitr Trepow, rozgłośny komendant pałaców cesarskich w Petersburgu, o którym tak często krążyły już pogłoski, że padł ofiarą zamachu, a który teraz zmarł w Peterhofie zwykłą śmiercią skutkiem choroby.

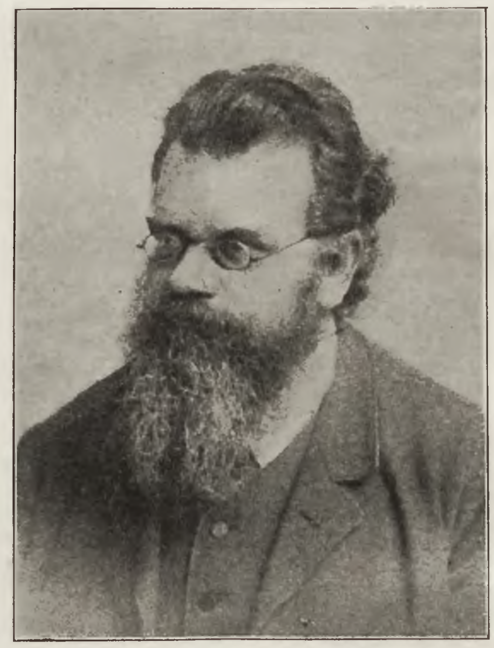
Samobójstwo profesora.

Przed kilku dniami doniosły telegramy, że wiedeński profesor uniwersytetu, lekarz dr Ludwik Boltzman wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Wiadomość ta wywołała zwłaszcza w kołach lekarskich niemałe wrażenie.

Śp. profesor Boltzman, którego portret obok zamieszczamy, liczył lat 62. Jako profesor cieszył się uznaniem i szacunkiem swoich uczniów; w kołach naukowych imię jego otaczano czcią. Był on autorem kilkunastu znakomitych dzieł z dziedziny medycyny, które uzyskały światową sławę.

Cóż mogło starcowi 62 letniemu, cieszącemu się poważaniem wśród społeczeństwa, tak obrzydzić resztki życia, że sam targnął się na nie? Oto profesor Boltzman cierpiał od dłuższego czasu na nerwy. Neurastenia, w jaką popadł w ostatnich latach, stała się przyczyną śmierci znakomitego uczonego. Osierocił on żonę, trzy córki i syna.

Jest to już w krótkim czasie drugi wypadek podobny w Wiedniu, że w sędziwym wieku odbiera sobie życie w pełni poważania ze strony społeczeństwa uczony austryacki.



Samobójstwo profesora: Radca dworu dr Ludwik Boltzmann, znakomity lekarz i profesor wszechnicy wiedeńskiej, który w 62 r. życia zastrzelił się.

Zjazd pocztmistrzów we Lwowie.

W zeszłym tygodniu odbył się we Lwowie zjazd pocztmistrzów galicyjskich z okazyi dorocznego walnego zgromadzenia stowarzyszenia pocztmistrzów, ekspedjentów i ekspedytorów pocztowych. Na zgromadzeniu tem załatwiono cały szereg spraw bieżących, najdonioślejszym zaś przedmiotem obrad była sprawa usiłowań w kierunku zrównania pocztmistrzów z urzędnikami państwowymi czterech najniższych klas rangi. Wprawdzie bowiem rząd, przeprowadzając reorganizacyę tej instytucyi, zrobił pocztmistrzów urzędnikami, ale odmiennego typu. Dążeniem zaś tych pracowników jest zupełne zrównanie. Po bardzo długiej i żywej dyskusyi uchwalili zebrani rezolucyę, domagając się od rządu zadośćuczynienia temu postulatowi, oraz przyjęcie przez rząd odpowiedzialności za wykonywanie wypłat przekazów i doręczanie listów pieniężnych przez posłańców pocztowych. Nadto wezwali zgromadzeni wydział stowarzyszenia, by razem z innemi, pokrewnemi instytucyami, dążył do pomyślnego zrealizowania sprawy budowy domków dla pocztmistrzów i pomieszczenia urzędów.

Drugą ważną sprawą, załatwioną na tem zgromadzeniu, była zmiana osoby przewodniczącego.



Wielki pożar w Kozowej: Zniszczona zupełnie podczas pożaru ulica Kolejowa w Kozowej.

Dotychczasowy bowiem prezes stowarzyszenia pocztmistrzów, p. Izydor Kowalewski, ustąpił ze swego stanowiska, po pięćdziesięciu latach służby zawodowej a trzydziestu przewodnictwa w tem stowarzyszeniu. W uznaniu bardzo wielkich zasług p. Kowalewskiego, w uznaniu jego niezmordowanej pracowitości i zapobiegliwości, dzięki którym stowarzyszenie tak pięknie się rozwinęło, mianowało walne zgromadzenie p. Kowalewskiego honorowym prezesem. Następcą zaś jego wybrano p. Dültza.

W numerze dzisiejszym pomieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy uczestników zjazdu, z wydziałem stowarzyszenia wraz z jego prezesem ustępującym i nowowybranym, oraz portret honorowego prezesa p. Kowalewskiego.



Fot. dla „Now. Illustr.“ Marek Münz we Lwowie.
Zjazd pocztmistrzów we Lwowie: Zasłużony prezes honorowy stowarzyszenia pocztmistrzów galicyjskich, Izydor Kowalewski z Rohatyna, po latach 50 służby zawodowej, a 30 latach przewodnictwa w stowarzyszeniu ustępujący ze stanowiska.

Nawet w pięknej Szwajcaryi.

Od szeregu miesięcy po miastach rosyjskich dygnitarze państwowi, zarówno wojskowi, jak cywilni, narażeni na ciągłe zamachy ze strony rewolucyonistów, wychodzą codzień z domu z tem uczuciem, że mogą żywo lub zdrowo nie wrócić już na łono rodziny. A trwoga ta ogarnia nawet nietylko tych, którzy odebrali wprzód „wyroki śmierci“ od bojowców. Zdarzyło się już nieraz, że strzał śmiertelny dosięgnął „przez pomyłkę“ właśnie kogo innego, trochę podobnego do upatrzonej ofiary, jak np. wtedy, gdy zabójca strzelił do generała Kozłowa, w przekonaniu, że ma przed sobą Trepowa. Zresztą na obszarach państwa rosyjskiego w takich czasach, jak obecne, nie ma mowy o bezpieczeństwie życia ludzkiego i publiczność nawet w miastach bomb i browningów oswoiła się z tą myślą, że nikt dziś nie pewny dnia ani godziny.

Nie dziw, że ludzie w takich warunkach uciekają za granicę, naturalnie ci jedynie, którzy mogą wyjechać. Bawią tedy w krajach spokojnych, przekonani, że tam już nie mają chyba czego się obawiać. Tymczasem okazuje się, że nawet w pięknej Szwajcaryi rewolucyoniści rosyjscy śledzą dygnitarzy petersburskiego rządu i chodzą za nimi z rewolwerami w ręku.

Swieżo zaszedł sensacyjny wypadek w Interlaken, gdzie rewolucyonistka rosyjska zabiła znowu przez pomyłkę nie tego bynajmniej, na kogo padł tajny wyrok bojowców, ale, jak się wydaje, człowieka zupełnie niewinnego. Ofiarą jej strzału padł bogaty rentjer z Paryża, Karol Müller, zamach zaś wykonany był na byłego ministra Durnowa. Ten bawił istotnie do niedawna w Interlaken i mieszkał w hotelu Victoria, położonym obok hotelu Jungfrau, gdzie przypadkiem zginął kapitalista paryski, Müller, będący stałym gościem tego hotelu już od lat trzynastu.

Opowiadano po tym wypadku, że Durnowo podróżował po Szwajcaryi pod nazwiskiem Müllera i może stąd pochodziła tragiczna omyłka.

Sprawczynią zamachu była młoda, o wytwornym wyglądzie blondynka (załączamy jej podobi-



Nasi nauczyciele muzyki w Wiedniu: Na zjeździe pedagogów muzycznych w Wiedniu grupa uczestników galicyjskich. Od lewej ku prawej stoją profesorowie: St. Bursa z Krakowa, Fr. Konior z Zaleszczyk, A. Czerbąk z Nowego Sącza; siedzą: P. Mooss z Kołomyi, K. Stohl z Krosna, O. M. Żukowski z Bukowiny, A. Uruski z Rzeszowa.

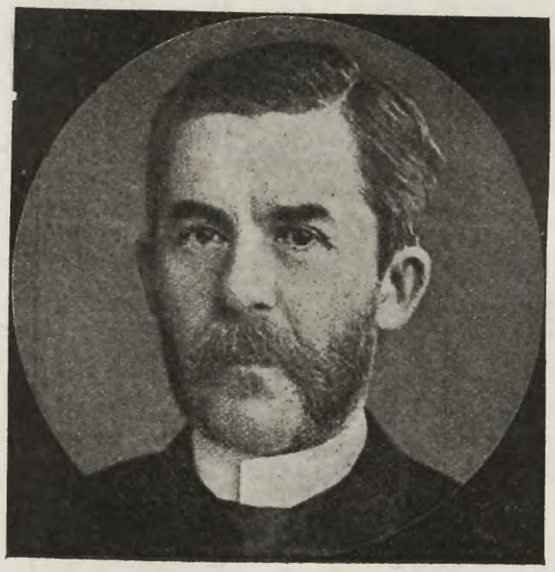
Nasi nauczyciele muzyki w Wiedniu.

W początkach bieżącego miesiąca odbył się we Wiedniu (w gimnazyum akademickiem przy pl. Beethovena) zjazd tych pedagogów muzycznych całej Austryi, którzy pracują jako nauczyciele śpiewu i muzyki w szkołach średnich, tudzież seminaryach nauczycielskich. Chodziło z jednej strony o przyuczenie się w śpiewaniu chórału rzymskiego, z drugiej strony o tem pilniejsze i poprawniejsze używanie go w kościele. Gal. Rada szkolna delegowała na zjazd ten najzdolniejszych pedagogów, których zbiorową podobiznę podajemy w niniejszym numerze „Now. Illustrowanych“. Są to pp.: Stanisław Bursa, nauczyciel śpiewu przy gimnazyum św. Jacka w Krakowie, znany zaszczytnie muzyk i krytyk muzyczny, (autor tak popularnej Gondoliery), p. Adam Czerbak, prof. seminaryum w Nowym Sączu, autor kilku śpiewników i fantazyi dramatycznej „Sokoły“, p. Franciszek Konior, prof. seminaryum w Zaleszczykach. Piotr Mooss, prof. gimn. z Kołomyi, udzielający w tamtejszym gimnazyum nauki śpiewu, profesorowie seminaryów Karol Stohl z Krosna i Antoni Uruski z Rzeszowa, kompozytorzy, cenieni dla swych wybitnych zdolności pedagogicznych. Bukowinę reprezentował prof. Otton Mieczysław Żukowski, znany kompozytor i autor kilku cennych prac z dziedziny muzyki. Pedagodzy nasi słuchali przez cały tydzień wykładów takich powag muzycznych, jak Julius Böhm, Rudolf Dietrich, Antoni Förster, O. Michał Horn i t. d.



Fot. umyślnie dla „Now. Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.
Zjazd pocztmistrzów we Lwowie: Grupa uczestników zjazdu członków stowarzyszenia pocztmistrzów, ekspedyentów i ekspedytorów z Galicyi, pośrodku ustępujący prezes J. Kowalski (1), oraz nowowybrany Dültz (2).

znę), która w Interlaken zameldowała się w hotelu jako panna Stafford. Po aresztowaniu jej znaleziono przy niej numer pisma „Tribune Russe“ z portretem Durnowa, przypominającym — jak widać na naszych fotografiach — w rysach twarzy tylko małe podobieństwo do byłego ministra rosyjskiego. Zresztą żadnych innych dowodów nie miała przy sobie, a nawet wypruła znaki z bielizny, żeby nie miano śladów jej osobistości. Policya szwajcarska jednak rozesłała jej fotografię do właścicieli różnych sklepów i tym sposobem wyszło na jaw — kto ona. Kupcy bowiem zgodnie poznali na fotografii studentkę rosyjską z Petersburga, nazwiskiem Tatjana Leontjewna, która w ostatnich czasach studyowała medycynę w Lozannie. Profesorowie tamtejsi zapewniają, że była pilną i bardzo inteligentną słuchaczką. Była ona podobno już raz wmieszaną w jakiś spisek anarchistyczny na życie wysoko położonej osobistości na dworze petersburskim. Ojciec jej jest wysokim dygnitarzem w Rosyi; przybył do Interlaken, gdzie rozmawiał w więzieniu z Tatjaną. Opowiadają, że jest ona kuzynką zmarłego onegdaj generała Trepowa. Według ustaw szwajcarskich grozi zabójczyni Müllera dożywotnie więzienie. Proces odbędzie się już wkrótce.



Nawet w pięknej Szwajcaryi: Były minister rosyjski Durnowo, zamiast którego zastrzeliła rewolucyonistka Tatjana Leontjewna kapitalistę paryskiego Müllera w Interlaken w Szwajcaryi.

Wypadek zamordowania przez pomyłkę zupełnie niewinnego człowieka w Interlaken tak poruszył opinię publiczną w Szwajcaryi przeciw rewolucyonistom rosyjskim, rozszerzającym działalność swoją za granicą, że obawiać się należy wrogich objawów nawet wobec spokojnych kuracyuszów z Rosyi. Trudno dziwić się Szwajcarom: wszak to naród, który żyje tylko z obcych gości, a pobyt Rosyan w ich hotelach po podobnych wypadkach, jak zbrodnia w Interlaken, mógłby odstraszać innych kuracyuszów.

Field-trial.

Warszawskie Towarzystwo Prawidłowego Myśliwstwa urządza co rok jesienią próby polowe wyżłów na polach folwarku Służewiec za rogatką mokotowską t. zw. field trial.

Właśnie przed tygodniem odbyła się tam doroczna próba, na którą jak zwykle stawili się znani hodowcy.

Z dziewięciu wypróbowanych psów jeden tylko wyżeł niemiecki „Mylord“ (własność p. Wiktora Szostaka z Osiecza Wielkiego pod Włocławkiem), otrzymał drugą nagrodę (40 rubli) w klasie psów niemieckich. Nadto strzelec Józef Piotrkiewicz, układający premiowanego „Mylorda“, otrzymał drugą nagrodę dla strzelców (15 rubli).



Nawet w pięknej Szwajcaryi: Słuchaczka medycyny w Lozannie, rewolucyonistka z Petersburga, Tatjana Leontjewna, która w Interlaken w Szwajcaryi zamiast ministra Durnowa zabiła paryskiego rentjera Müllera

Komitet sędziów tej próby dorocznej składali pp. Jan Stolcman (jako przewodniczący), Władysław Starzyński i Wacław Paszkowski.

Na naszej fotografii widać właśnie członków „jury“, wraz z komitetem warsz. Tow. Prawidłowego Myśliwstwa, nadto samych hodowców wyżłów.

W grupie znajdują się również przedstawiciele prasy.



Fot. umyślnie dla „Now. Ill.“ Jan Raczyński, Warszawa.

Field-trial: Doroczna próba polowa wyżłów (field-trial) na polach Służewca pod Warszawą; grupa hodowców, uczestników konkursu, wraz z sędziami, członkami komitetu Tow. Prawidłowego Myśliwstwa i przedstawicielami prasy

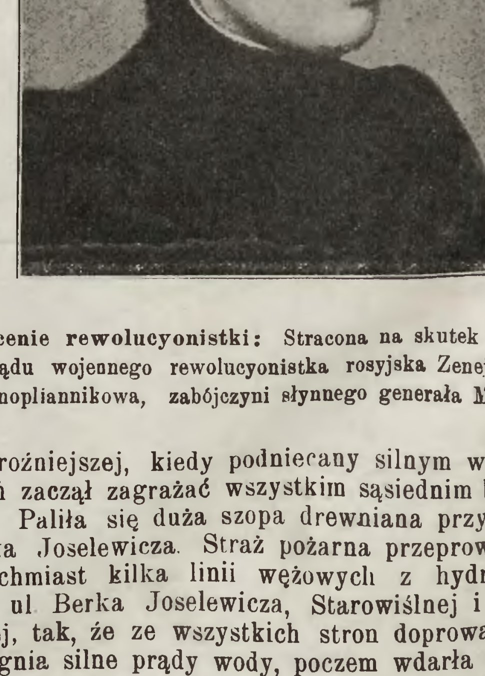
Ognista przestroga.

W nocy ze środy na czwartek w ubiegłym tygodniu wybuchł przy ulicy Starowiślnej groźny pożar, który jedynie dzięki energicznej akcyi ratunkowej krakowskiej straży pożarnej pod komendą naczelnika p. Nowotnego, nie przybrał większych rozmiarów i nie zamienił w perzynę całej dzielnicy żydowskiej w Krakowie. Pożar bowiem wybuchł w miejscu, otoczonem ze wszystkich stron materyałami łatwo zapalnemi. Tuż obok szopy, w której wybuchł ogień, znajdują się olbrzymie składy drzewa, odgrodzone jedynie drewnianym, a więc łatwo zapalnym, płotem. Miejsce pożaru otoczone jest ze wszystkich stron kamienicami o drewnianych gankach; wszystko to mogłoby było bardzo łatwo stać się pastwą płomieni. Tem większe więc należy się uznanie krakowskiej straży pożarnej i jej dzielnemu naczelnikowi za akcyę ratunkową.



Nawet w pięknej Szwajcaryi: Karol Müller, kapitalista z Paryża, którego rewolucyonistka Tatjana Leontjewna zastrzeliła przez pomyłkę zamiast byłego ministra Durnowa w Interlaken w Szwajcaryi.

Kilka minut po godzinie 1 po północy, zaalarmował strażnik na wieży Maryackiej straż pożarną, iż w ul. Starowiślnej powstał silny ogień, który z szaloną siłą rozszerza się w stronę miasta. Natychmiast wyjechały z koszar dwa plutony straży z brandmistrzami pp. Stempińskim i Flaszą, oraz naczelnikiem p. Nowotnym i przybyły w chwili najgroźniejszej, kiedy podniecany silnym wiatrem ogień zaczął zagrażać wszystkim sąsiednim budynkom. Paliła się duża szopa drewniana przy ulicy Berka Joselewicza. Straż pożarna przeprowadziła natychmiast kilka linii wężowych z hydrantów przy ul. Berka Joselewicza, Starowiślnej i Brzozowej, tak, że ze wszystkich stron doprowadzono do ognia silne prądy wody, poczem wdarła się do szopy. Po wyrąbaniu desek do stajni, mieszczącej się w płonącej szopie, wkroczyła straż do wnętrza, okazało się jednak, że mimo nadzwyczajnej szybkości, z jaką niesiono pomoc, pomoc ta przybyła



Stracenie rewolucyonistki: Stracona na skutek wyroku sądu wojennego rewolucyonistka rosyjska Zenejda Konopliannikowa, zabójczyni słynnego generała Minna.

już zapóźno. W stajni znaleziono częścią poduszone, częścią spalone konie, po mozolnej zaś pracy w spalonej słomie znaleziono zwęglone już zwłoki parobka, śp. Michała Sapka, ojca kilkorga dzieci. Sapek, jak się okazało, poszedł był w nocy spać na stryszek stajni. Gdy ogień strawił belki, nieszczęśliwy spadł na ziemię i tam dopiero zdołano odnaleść jego zwłoki. Ciało strasznie spalone; nogi zupełnie zwęglałe, zamiast głowy i tułowia widać straszliwą, bezkształtną masę, ze świecącą z pod



Powrócił: Znakomity artysta dramatyczny Michał Szobert, w ostatnim czasie reżyser sceny warszawskiej, który po wielu latach powrócił do Lwowa, zaangażowany do teatru miejskiego przez dyr. Hellera.

przepalonej skóry czaszką. Na załączonej dzisiaj illustracyi, widać właśnie zwęglone zwłoki śp. Sapka. Nad nimi ubogo ubrana kobieta, żona nieszczęśliwego, w rozpacznym bólu nie może się utulić w płaczu. Przerażającym był moment, kiedy biedaczka w bezgranicznej żałości rzuciła się ku spalonym zwłokom i zaczęła pocałunkami okrywać zwęglone już ręce. Drugi parobek, Michał Cieślik, który również spał w szopie, zdołał cudem prawie ujść niechybnej śmierci, chociaż silnie poparzony. Pogotowie odwiozło go do szpitala św. Łazarza.

Mimo silnego wiatru i niedogodnego przystępu, straż pożarna stłumiła ogień niespełna w godzinie. Spalona szopa należała do właściciela składów drzewa, blacharza B. Gordego. Szopę tę wynajmował Gorde na stajnię jakiemuś przedsiębiorcy, który umieścił tam cztery konie i dwu parobków. Wszystkie cztery konie spaliły się. Na załączonej obok illustracyi widać szkielety biednych zwierząt, z wyrzuconemi wnętrznościami.

Pożar ten był dla magistratu groźną przestrogą, aby nie pozwalał umieszczać składów drzewa wśród domów. Może to bowiem wywołać nieszczęście, któremu nie da się już zapobiedz tak, jak w tym wypadku.



Fot. aparatem red. W. Lis w Krakowie.

Ognista przestroga: Zgliszcza spalonej szopy przy ul. Berka Joselowicza w Krakowie; na pierwszym planie zwęglone zwłoki parobka śp. M. Sapka, nad któremi rozpacza wdowa.

Jest to już w przeciągu bardzo krótkiego czasu drugi wypadek pożaru w Krakowie, który nietylko blaskiem olbrzymiej łuny wśród ciemności nocnych pobudził mieszkańców ze snu, ale jeszcze po ugaszeniu go szczęśliwem, dał powód do dyskusyi ponownej, jak małe jest bezpieczeństwo u nas i jak byle nieostrożność jednostki może narazić całe dzielnice na spustoszenie. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże!“ więc zaradzić złemu należy póki czas jeszcze.

Lwowianin — grand-rabinem w Transvaalu.

W mieście Johannesburgu w Transvaalu, tam gdzie toczyła się tak krwawa wojna między Boerami a Anglikami, w mieście, w którem mieszka obecnie, według obliczeń statystycznych 20.000 żydów, powołany został na stanowisko grand-rabina Lwowianin, dr. J. L. Landau (oto jego portret).

Młody ten, liczący obecnie 48 lat, człowiek, do dwudziestego roku życia studyował prawie wyłącznie hebrajszczyznę i talmud. Dopiero później wziął się do innych przedmiotów, złożył egzamin dojrzałości w Brodach, poczem wyjechał do Wiednia, a następnie do Berlina, gdzie ukończył seminaryum teologii żydowskiej i filozofię. Po ukończeniu studyów był przez krótki czas rabinem w Lerchenfeld, a obecnie został mianowany rabinem w Transvaalu.



Fot. aparatem red. W. Lis w Krakowie.

Ognista przestroga: Zgliszcza spalonej szopy przy ul Berka Joselowicza, której pożar zagrażał całej dzielnicy żydowskiej. Na ziemi widać wśród gruzów i popiołu spalone cztery konie.



Lwowianin grand-rabinem w Transvaalu: Dr. J. L. Landau ze Lwowa, powołany na stanowisko grand-rabina do Johannesburga w Transvaalu.

Mimo olbrzymiej odległości, która dzieli go od Galicyi, utrzymuje stale stosunki z krajem rodzinnym; co kilka miesięcy sprowadza sobie ze Lwowa zapas książek w polskim języku, wszystko to, co stworzyła nasza najnowsza literatura. Stosunki te są tem cieplejsze, że w kraju naszym mieszka i działa jego rodzina, a rodzony brat jego, dr Fryderyk Landau, jest we Lwowie znanym i cenionym lekarzem.

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

5 Ciąg dalszy.

Marya nie opuściła ani jednej sposobności, ani jednego środka, aby skradzione papiery wartościowe odzyskać. Dopiero, gdy te papiery będzie mieć w ręku, zadowolni się w zupełności. Wiedziała już bardzo wiele, ale to jej jeszcze nie mogło wystarczyć.

Nie tylko wzgląd na spodziewany zysk, jaki jej odzyskanie tych papierów przynieść miało, pchał ją do pracy, ale i serce jej nie pozostało w tej sprawie nietknięte. Od chwili, w której ujrzała Henryka Wilberta, biedna dziewczyna tęskniła jeszcze bardziej jak kiedyindziej za spokojem i za tem cichem szczęściem, jakie już jest przeznaczeniem kobiety.

Na chwilę przed północą wsiadła do doróżki, którą sobie przedtem zamówiła. Jechała w eleganckiej toalecie na bal maskowy, który rok rocznie odbywał się o tym czasie, a na którym znajdowała się zawsze śmietanka handlowego świata Nowego Jorku. Suknia mniszki okrywała jej toaletę, kiedy wchodziła na salę. W tej masce szła od grupy do grupy, rzucając tu i ówdzie jakieś słówko. Zdawało się, że kogoś szuka. W końcu, widocznie znużona, rzuciła się na fotel, stojący na uboczu. Po chwili z szeregów tańczących wysunął się ku niej człowiek w masce średniowiecznego rycerza i usiadł przy niej.

— Doniosę ja o tem ksieni, że ty tu noc przepędzasz! — szepnął jej.

— Ano trudno! — odparła. — Jeżeli już zawsze jesteś takim gadułą, to ja nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.

Powiedziała to w żartobliwym tonie, podczas gdy serce jej zaczęło pukać, jakby chciało rozbić klatkę piersiową.

— To on — Henryk Wilbert — szeptało jej serce.

Postarała się o bilet dla niego i posłała mu go z prośbą, aby na balu zagadnął mniszkę. Przyszedł, bo przeczuwał, że wezwanie to pochodzi od tajemniczej istoty, która go obiecała wyratować.

— Piękna masko — ozwał się rycerz — wiem, kto jesteś. Pokażże mi nareszcie raz twoje prawdziwe oblicze, dobrze?

— Chciałbyś widzieć moją twarz, moją prawdziwą postać, tak, jaką jestem w rzeczywistości — głos jej drżał — a jeśli się rozczarujesz, jeśli w snach swoich wyśniłeś sobie piękniejszy obraz, aniżeli go znajdziesz w rzeczywistości? Zostańmy tak po staremu, pozwól mi doprowadzić moją sprawę do końca i zostać ci nieznaną. Możesz przypuszczać, że jestem stara i brzydka...

Podniosła się, chcąc odejść.

— Taką rękę i taką postać może mieć tylko młodość — przerwał jej. — Pokaż mi twą twarz.

Chciała się cofnąć, ale on objął ją nagle i zdarł jej maskę z twarzy.

W radosnem zdumieniu, jakie go ogarnęło na widok prześlicznej twarzyczki, zatrzymał maskę przez kilka chwil w swych ręku. Kiedy Marya chciała ją mu wydrzeć, aby ją założyć na nowo, zauważyło ją już jakieś domino. Był to mężczyzna, który na widok jej cudownych rysów zatoczył się śmiertelnie przerażony i skrył się za filarem.

Marya. oparta na ramieniu Henryka Wilberta, oddaliła się. Wśród chaosu balowej sali spędziła z nim kilka szczęśliwych godzin, poczem, odebrawszy od niego przyrzeczenie, że za nią nie pójdzie, zniknęła. Ani jednem słówkiem nie wspomnieli oboje o rzeczach, które im na sercu ciążyły. Śmiali się i żartowali, rozmawiając o rzeczach obojętnych, czuli jednakże oboje, że nawiązał się pomiędzy nimi jakiś serdeczniejszy stosunek, bo ze słów ich promieniało jakieś serdeczne ciepło. Marya, opuszczając bal, czuła w sobie więcej odwagi, nowe siły do dokonania przedsięwzięcia, ale przyczyną tego nie była już nadzieja zysku — nie, ona chciała przywrócić honor ukochanemu człowiekowi, który z trwożliwą nadzieją patrzył w przyszłość. Nie pytał on się o nic, z ufnością zdał całą przyszłość swoją w jej ręce, nie odważył się nawet spytać o jej nazwisko, a nawet imię.

Kiedy znalazła się w westybulu, skręcając do wyjścia, szepnął jej jakiś głos:

— Francuzka pokojóweczka nauczyła się jednakże bardzo prędko po angielsku!

Odwróciła się przerażona, ale obok siebie nie mogła znaleźć nikogo, na któregoby mogło paść jej podejrzenie. U podnóża schodów stało kilka kobiecych masek, gotowych do odjazdu.

Marya przypomniała sobie, że tuż obok niej zatrzymało się jakieś męskie domino w chwili, kiedy Henryk zdjął jej maskę z twarzy. Czyżby to był Robertson, który ją teraz śledził?

Sprawa zawikłała się przez to w najwyższy sposób. Jeśli się przekonał, że ona umie po angielsku, to wielka część planu, dotychczas tak przez nią dobrze przeprowadzanego, obracała się w niwecz.

Siadła do dorożki i podawszy dorożkarzowi adres, pogrążyła się w głębokiem zamyśleniu. Tak była zajęta swemi myślami, że dopiero po dłuższej chwili zauważyła, iż jazda trwa absolutnie za długo. Wychyliła się przez okno i spostrzegła, że z szaloną szybkością oddalała się coraz bardziej od tej dzielnicy, do której miała jechać.

— Zdrada! — szepnęła, opierając się wygodnie o poduszki powozu, zdecydowana z całych sił stawić czoło wszystkiemu, co ją czeka.

— Dobrze! — myślała — pozwolę wam jechać, bo dowiem się w ten sposób, skąd mi grozi niebezpieczeństwo.

O siebie samą nie bała się ani chwili. Miała zawsze przy sobie genialną broń i wspaniałe środki obronne, które jej dotychczas pozwalały wychodzić zawsze zwycięsko z najtrudniejszych sytuacyi, pomimo, że była tylko słabą kobietą.

Zaledwie miała czas spostrzedz, że znajduje się już poza miastem i jedzie po niewybrukowanej drodze. Powóz zatrzymał się nagle przed kratą ogrodu, otaczającego wspaniałą willę.

Do powozu przystąpiło dwóch ludzi.

— Proszę się nie obawiać, opuści pani ten dom zupełnie cało — rzekł jeden z nich.

— Ja się wogóle niczego nie boję! — odparła zimno.

— Może pani będzie łaskawą wysiąść?

— Z największą przyjemnością.

Marya wysiadła, a zwracając się do woźnicy, rzekła:

— Toż pan przywiózł mnie pod fałszywym adresem!

— Jakto? — odparł doróżkarz. — Małżonek pani polecił mi, abym panią tutaj przywiózł.

— Ah, tak! Znalazł mi pan męża! No, dobrze, mój kochany; mam tu pański numer; pociągnę ja pana do odpowiedzialności, jeśli mnie pan zdrowej i całej nie odwieziesz do domu!

— Tak, łaskawa pani, czyż pani tu nie mieszka?

— Wiesz pan zbyt dobrze, że nie; zostałeś pan przekupiony. Będziesz pan tutaj czekał na mnie, bo w przeciwnym razie ciężko pan za to odpokutujesz!

— A teraz jestem do usług — zwróciła się Marya do człowieka, który jej pomagał wysiąść z powozu. — Proszę, możemy się dalej bawić w ten bal maskowy.

— Proszę za mną! — odparł mężczyzna trochę zakłopotany, prowadząc ją szerokiemi schodami na górę. Przed wspaniałą bramą stanął i zarzucił Maryi chustkę na głowę.

Pozwoliła na to; z warg jej nie wydarł się najsłabszy nawet krzyk przestrachu ni trwogi. Czuła, że dorosła do tego, co ją czeka, a przeczuwała, iż uprowadzenie to inscenizował Robertson, podczas jej obecności na balu, poznawszy ją w tym nieszczęsnym momencie, na początku zabawy, kiedy jej Wilbert zdjął maskę.

— Niech się pani niczego nie obawia! — powtórzył jej towarzysz.

— Ja się nie boję. Panowie jednak powinniście się obawiać, bo nademną czuwają ludzie, którzy mają większą moc, aniżeli wy wszyscy razem. Gdyby mnie tu nieszczęście spotkało, to panowie za to odpokutujecie!

Po dosyć długiej wędrówce po rozmaitych kurytarzach, stanęli nareszcie przed jakiemiś drzwiami i weszli do pokoju, gdzie jej zdjęto chusteczkę z oczu. Marya ujrzała, że znajduje się w elegancko urządzonym salonie, oświetlonym kilkunastu świecznikami elektrycznymi.

Była sama.

Czekała może z dziesięć minut, kiedy do pokoju wszedł jakiś pan w masce.

— Czuje się pani tutaj nieswojo? — zaczął głosem, w którym czuć było ironię.

— Bynajmniej! — odparła ze zimną krwią.

— Pani żartuje!

— Cóż znowu!

— I pani się nie boi?

— Nie!

— W takim razie pani jest rzeczywiście odważna!

— Odwagę mam wrodzoną! — odparła pogardliwie.

— Jesteś pani zupełnie w mojej mocy!

— Tak? Tak pan sądzi?

— Tak, łaskawa pani, to nie ulega kwestyi.

— No, najstraszniejszą rzeczą dla mnie to nie jest; urządzenie ma pan bardzo ładne, a ponieważ mnie pan tu przywiózł, więc sądzę, że z tego zbytku i mnie się coś dostanie.

Aż krzyknął, tak zdumiała go śmiałość tej kobiety, o której sądził, że będzie płakać i błagać go o litość.

— Ja tu pani dla przyjemności bynajmniej nie przywiozłem — odparł szorstko. — Chciałbym się zwrócić do pani z kilku bardzo poważnemi pytaniami.

— Ślicznie, więc pytajże pan!

— Czy pani jest identyczną z tą Francuską, która obecnie służy u pewnej pani nazwiskiem Harrington?

— To pana nic nie obchodzi.

— Ja wiem, że pani i ta Francuska, to jedna osoba.

— Więc pocóż się pan pyta?

— Bo chcę postępować porządnie, krok za krokiem.

— Dotychczas zachowałeś się pan nadzwyczaj porządnie, to muszę przyznać — zauważyła sucho Marya.

— Co to ma znaczyć, że pani się przedstawiła madame Harrington jako Francuzka, kiedy pani przecie mówi najczystszą angielszczyzną na świecie?

— To także pana nic nie obchodzi.

— Pani jest nadzwyczajnie uprzejmą — rzekł ironicznie.

— Nie wiedziałam, że pan będziesz wymagał uprzejmości odemnie wobec podstępnego sposobu, jakim mnie dostałeś w swoją moc.

— Skończmy raz tę komedyę — wybuchnął — i przejdźmy nareszcie do sprawy.

— W komedyi, jaką gramy, pan jesteś przecie reżyserem, pan więc tylko może zaczynać.

— Zmieni pani może ton swoich słów, jeśli pani powiem, że zależy od okoliczności, czy pani dom ten żywa opuści.

— Rzeczywiście? Bądź co bądź byłby to śmiały przeskok z komedyi do tragedyi.

— Niechże pani przestanie —

— Czego?

— Ja panią przejrzałem na wylot, moja łaskawa!

— Rzeczywiście?

— Tak jest. A teraz chciałbym wiedzieć, jaki pani ma przytem cel na oku?

— Jeśli mnie pan przejrzał na wylot, to pan to przecie powinien wiedzieć

— Kto panią namówił do tego? — zapytał, przeskakując nagle na właściwy temat.

— Namówił? Dlaczego? Do czego?

— Aby szpiegować Julię Harrington i pilnować jej?

— To znowu nic pana nie obchodzi.

— Zrobiłaby pani lepiej, gdyby pani odpowiadała na moje pytania. Ja chcę odpowiedzi, choćbym ją sobie nawet własnemi rękoma miał wymusić.

— Ah, więc pan grozi?

— Pewnie, i tak zrobię! A teraz pytam się po raz ostatni, z czyjego polecenia i w jakim celu szpieguje pani Julię Harrington?

— Ja nie szpieguję madame Harrington?

— A ja pani mówię, że pani to robi.

— Nie i jeszcze raz nie!

— Napróżno pani kłamie.

— Myli się pan. Zadaniem mojem jest obserwować kogo innego.

— Kogo innego? A kogóż?

— Pana Grzegorza Robertsona!

Człowiek w masce zatoczył się w tył.

— Rany Boskie! O czem pani myśli?

— Teraz odpowiadam na pańskie pytania i znowu pan nie jest zadowolony — roześmiała się Marya szyderczo.

— Do kroćset, niechże pani raz szydzić przestanie, bo ja panią potrafię zmusić do tego!

— Chciałabym widzieć!

— Dlaczego pani obserwuje pana Robertsona?

— To pana nic nie obchodzi.

— To mnie obchodzi!

— Ja panu wierzę, że to pana obchodzi, panie Robertson, ale jednak tego panu nie powiem. Niech pan zdejmie maskę. Przecież pan chyba nie sądzi, że ja się dam oszukać kawałkiem czarnego płótna.

— To szatan nie kobieta! Kto ty jesteś?

— Francuzka pokojóweczka.

— Słuchajże, dziewczyno; ja ci za twoje odpowiedzi zapłacę. Dam ci 500 dolarów, jeśli mi zdradzisz twoją tajemnicę.

— To nie dla mnie.

Umilkł na chwilę, poczem ozwał się stanowczo dzikim głosem:

— Pani mnie doprowadza do szaleństwa!

— Ostrzegam pana przed użyciem gwałtu!

— Więc zgadza się pani na przyjęcie mojej propozycyi?

— Absolutnie nie — łotrze!

— W takim razie, do krocset dyabłów, zmuszę panią do tego, że pani zrobi to, co ja zechcę!

— Więc zmuś mnie pan — jeśli pan możesz!

Zamaskowany był silnym, muskularnym mężczyzną. Podszedł krok bliżej i chwycił Maryę za ramię jakby żelaznemi kleszczami.

— Puść mnie pan! — zawołała Marya

Chwycił ją silniej jeszcze. Przez sekundę panowała w pokoju cisza, naraz silny mężczyzna krzyknął, wywinął się z rąk słabej kobiety, aż wreszcie, jęknąwszy z bólu, runął na ziemię. Marya zraniła go swojemi nożami w ramię.

Puściła go, wyjęła z kieszeni flaszeczkę, napoiła chustkę chloroformem i rzuciła mu na twarz.

Oczy mężczyzny zawarły się powoli, a za chwilę leżał on już bez przytomności.

Marya spokojnie opuściła salon i zeszła na schody.

Kurytarze były zaledwie słabo oświetlone, jednak Marya mogła dokładnie rozpoznać miejscowość. W bramie willi zaszedł jej drogę jakiś mężczyzna.

— Stój! Pani nie może wyjść z tego domu!

— Wyjdę z całą pewnością!

— A co na to powie mój pan?

— Dał mi on dla was polecenie!

— A to polecenie brzmi?

— Tak! — i dzielna kobieta podeszła krok bliżej i rzuciła mu na twarz chusteczkę, napojoną chloroformem. Zatoczył się i upadł na ławkę, stojącą niedaleko.

Bez przeszkody Marya wyszła teraz na ulicę, gdzie jeszcze na nią czekała dorożka.

— Jest pan tu? — spytała w ciemności.

— Do usług!— odparł półgłosem dorożkarz.

— Proszę mnie odwieźć do miasta!

Zaledwie dorożka się oddaliła, kiedy i służący ocknął się już ze swego lekkiego omdlenia. Wybiegł po schodach na górę do pokoju, gdzie zamaskowany ciągle jeszcze leżał na podłodze, ale już też odzyskał przytomność. Służący pomógł mu się podnieść, posadził go na krześle i zdjął mu maskę.

— Gdzie jest ta kobieta, ten szatan raczej w postaci dziewczęcia — zapytał jęcząc zraniony.

— Uciekła, łaskawy panie.

— Uciekła?

— Tak jest, proszę łaski pana!

— Czyż nie nakazałem ci najsurowiej nie wypuszczać tej dziewczyny z domu?

— Ogłuszyła mnie; przez chwilę leżałem bez przytomności.

— Ah! — syknął Robertson. — A jednak ona mi nie ujdzie!

Potem kazał służącemu zbadać sobie ramię. Sługus oglądnął i zapewnił go, że jest tylko lekko zranione.

* * *

Na drugi dzień rano Francuska o zwykłej porze zjawiła się u swojej pani.

Z posępną miną przyjęła ją Julia i bez żadnych ogródek ozwała się po angielsku do słuchającej pokornie jej rozkazów dziewczyny:

— No, proszę, panienka ma odwagę powracać po całej nocy spędzonej poza domem bez mojego pozwolenia!

Pokojówka potrząsła głową.

— Madame zapomina, że ja nie umiem po angielsku.

— Wiem o tem teraz bardzo dobrze. Panienka umie aż nadto rozumie. Panienki nie było w domu, a ja chciałabym wiedzieć, gdzie panienka była!

Dziewczę nic nie odpowiadało.

— Radzę panience odpowiadać! Teraz jestem przekonana, że panienka umie po angielsku.

Łucya milczała dalej, patrząc zdziwionym wzrokiem na panią, której pomagała przy toalecie.

— Teraz wiem, że pan Robertson przysłał panienkę do mego domu, aby panienka pilnowała mnie. On mi to wczoraj sam wyznał — zaczęła Julia na nowo po angielsku.

Żadnej odpowiedzi.

Julia Harrington zamknęła drzwi na klucz; dziewczę patrzyło na to obojętnie.

Tłumioną wściekłość znać było na obliczu pięknej kobiety, kiedy teraz groźnie zbliżała się ku dziewczynie.

— Czy panienka będzie odpowiadać, czy nie? — syknęła.

— Łaskawa pani może niezdrowa? — spytała Łucya po francusku.

— No, jeśli panienka zdecydowana jest grać dalej komedyę — ozwała się Julia również po francusku — to zgoda, chociaż wiem, że panienka tak dobrze mówi po angielsku, jak i ja. Teraz jednak pragnęłabym się dowiedzieć, gdzie panienka była wczoraj w nocy?

— Tego łaskawej pani powiedzieć nie mogę!

— Niechże panienka ruszy języczkiem! Jestem przekonana, że panienka mnie szpieguje z polecenia pana Robertsona.

— Zapewniam panią, że pani się myli!

— A ja zapewniam panienkę, że panience nie wierzę.

— W takim razie ja nic więcej mówić nie mogę.

— Nawet wtedy, jeśli ja panience przyrzeknę, że panience zapłacę trzy razy tyle, ile płaci Robertson?

Zdawało się, że cierpliwość pięknej kobiety już się wyczerpała. Wściekła chciała się rzucić na dziewczynę, kiedy naraz usłyszała dzwonek przy drzwiach wejściowych.

Julia chciała, żeby nikt nie poznał, iż między nią a Łucyą coś zaszło. Postanowiła sprawę tę zbadać przy lepszej sposobności, jaka się kiedyś nadarzy.

Do Łucyi ozwała się:

— Jeśli to jest pan Robertson, to niechże mu panienka nie wspomina nawet o podejrzeniu, jakie na panienkę miałam. Niech pani stanie po mojej stronie, a z pewnością panienka tego nie pożałuje.

— Łaskawa pani może się zdać na mnie!

Julia odemknęła drzwi, a w kilka chwil później do buduaru Julii wszedł pan Robertson. Łucya chciała przejść koło niego i wyjść z pokoju.

Wtem Robertson podniósł groźnie swoją obandażowaną rękę i wstrzymał ją.

— Ta dziewczyna zostanie! — zwrócił się ku Julii. — Mam ci w jej obecności zadać kilka pytań.

Z miną zdziwioną i najniewinniejszą w świecie patrzyła Łucya to na jedno, to na drugie.

— Ty podstępna żmijo, ty! — krzyknął na nią — przypatrzno się na moją rękę!

Julia krzyknęła.

— Zawsze cię ostrzegałem przed tą dziewczyną — krzyczał Robertson. — Ty może wcale o tem nie wiesz, że ona wczoraj przez całą noc była poza domem!

— Nie rozumiem cię! — rzekła Julia, ale w duszy jej zaczęło się budzić coś nakształt przeczucia prawdy.

— Twoja pokojówka była przez całą noc poza domem! — powtórzył.

— To nieprawda! Ja mogę poświadczyć, że była całą noc w domu! — twierdziła Julia stanowczo.

Pełen najwyższego zdumienia wzrok Robertsona spoczął na Julii.

— Oddal stąd tę dziewczynę! — rozkazał.

Łucya wyszła.

Robertson usiadł i opowiedział Julii o przygodach poprzedniej nocy. Julia aż drżała ze wzruszenia. Podejrzenie, jakie miała, że Łucya stoi na usługach Robertsona, pierzchnęło, natomiast nowa myśl w niej się wyłoniła.

— Skądże się wziąłeś na balu maskowym? — spytała.

— Poszedłem, jak teraz zawsze, potajemnie za Henrykiem Wilbertem, aby obserwować każdy jego krok i zbierać dowody — opowiadał Robertson z cynicznym uśmiechem. — Wilbert przyjechał na bal w masce. Naraz straciłem go z oczu. Kiedym go szukał, przypadek zdarzył że przechodziłem koło tej Francuski w chwili, kiedy jakiś rycerz zdarł jej maskę z twarzy.

— Któż to był ten rycerz?

— Twarzy jego nie widziałem, ale sądząc po ruchach i całej postaci był to Wilbert.

Julia przyznała mu się teraz, że wiedziała o nieobecności dziewczęcia w domu.

— Podejrzywałam ją, że stoi na twych usługach, dlatego chciałam wybadać ją przedtem, zanim ci powiedziałam, że jej przez całą noc w domu nie było. Nie gniewaj się — mężczyźni są zawsze zazdrośni i niedowierzający. Sądziłam, że ty jej płacisz, aby ona mnie pilnowała.

— Jak możesz myśleć coś podobnego o mnie, wiedząc o tem, jak cię kocham i jak ci ufam!

— Cóż jednak ma znaczyć to, że ona się tu wśliznęła jako Francuska?

Spojrzał na nią wiele mówiącym wzrokiem.

— Czyżbyś nie przeczuwała?

— Rany Boskie! W sprawie papierów wartościowych — z czyjegoż polecenia — ?

— Może z polecenia Wilberta.

— A skądżeby on wiedział coś o tej sprawie? — zawołała Julia zrozpaczona.

— Nie wiem tego; to tylko wiem na pewne, że w tej dziewczynie musimy się obawiać najcięższego wroga; że, jeśli ona zwycięży — to my jesteśmy zgubieni; a więc rozwiązanie może być tylko jedno — ona, albo my! Szkoda tylko, że ona będzie teraz podwójnie ostrożna!

— Naturalnie, muszę ją natychmiast oddalić! — rozstrzygnęła Julia.

— Toby znaczyło tyle, co kapitulacya.

— Może mam ją tutaj nadal zatrzymać, aby mogła wszystko do cna zbadać i podsłuchać? — ozwała się Julia szyderczo.

(Dalszy ciąg nastąpi).



...Bez szmeru, na palcach, jak kot podszedł Robertson bliżej. Lornertka na biurku Julii leżąca, pozwoliła mu choć z trudem odcyfrować kilka słów, jakie Łucya pisała...

Pobyt ministra kolei w Galicyi.

We czwartek ubiegły przybył do Krakowa minister kolei dr Derschatta w przejeździe do Czerniowiec, gdzie miał wziąć udział w uroczystości położenia kamienia węgielnego pod nowy dworzec. Minister zatrzymał się w Krakowie i we Lwowie, w celu poznania życzeń naszego kraju i jego dążeń na polu kolejnictwa. Już sam zamiar zasługuje na uznanie. Niemcy wiedzą z reguły bardzo mało o Galicyi, od której oddala ich nie tylko odległość geograficzna, lecz także język, tradycye i zwyczaje; żeby jednak być wobec jakiegoś kraju sprawiedliwym, trzeba go przedewszystkiem poznać. Nie trzeba nam niczego więcej, jeno aby nas poznano, dlatego to minister Derschatta z takiem się wszędzie w Galicyi spotykał przyjęciem. Kraj nasz czyni nadludzkie wysiłki, aby wybrnąć z niewoli gospodarczej, w jaką go pogrążyło zaniedbanie ze strony władz centralnych, od chwili rozbioru aż do nadania autonomii. Ratunek jego leży w rozwoju kolei lokalnych i odpowiednich dla Galicyi taryf kolejowych. Pierwszy minister kolejowy gen. Guttenberg okazywał dla Galicyi wiele dobrych chęci, później wiele dla Galicyi uczynił dr Biliński, prezydent dawnej dyrekcyi generalnej. Natomiast długoletnia era ministra Witteka nie pozostawiła po sobie żadnych dodatnich śladów.

Dziś na czele ministerstwa kolejowego stoi mąż, który jako długoletni parlamentarzysta, przewodnik jednej z grup parlamentarnych, poznał dokładnie stosunki, panujące w państwie, a od pierwszej chwili swego urzędowania popierał nasze postulaty i starał się im zadość uczynić.

Dobre chęci ministra kolei, spotykające się ze znajomością stosunków krajowych i znajomością kraju u ministra skarbu, pozwalają nam spodziewać się urzeczywistnienia w najbliższej przyszłości przynajmniej najkonieczniejszych i najważniejszych postulatów.

Podnieść musimy, że już sam przyjazd dra Derschatty do naszego kraju, świadczy o jego dobrych chęciach, mamy nadzieję, że zbliżenie się jego do nas, poznanie naszych stosunków, wyda jak najlepsze owoce i przyczyni się do wzmocnienia dobrego stosunku między krajem a rządem. Osobiście tak sympatyczny, jak p. Derschatta, parlamentarzysta, najbardziej jest powołanym do zdobycia dla gabinetu popularności, o którą tak chodzi prezydentowi ministrów br. Beckowi.

Minister w Krakowie.

Do Krakowa przybył minister Derschatta we czwartek rano o godzinie 6. Na dworcu powitali go namiestnik hr. A. Potocki, delegat namiestnictwa p. Adam Fedorowicz, zastępca dyr. policyi Wł. Swolkien oraz dyr. kol. państw. radca dworu Józef Horoszkiewicz i grono urzędników.

Po krótkiem a bardzo serdecznem powitaniu przeszli wszyscy do rezerwowanego salonu, poczem p. minister wraz z towarzyszącymi mu urzędnikami wsiadł do przygotowanego powozu i odjechał do Grand-Hotelu, gdzie zjadł ranne śniadanie.

O godzinie 8 udał się minister w towarzystwie r. dw. Horoszkiewicza na stacyę Podgórze, którą szczegółowo zwiedzał. W Podgórzu przedstawili się ministrowi: starosta hr. Starzeński, burmistrz miasta, poseł na Sejm Maryewski z delegacyą Rady miasta oraz urzędnicy kolejowi miejscowi.

Po powrocie z Podgórza odbyły się posłuchania w gmachu dyrekcyi kolei państwowej, między innemi minister przyjął deputacyę urzędników kolejowych z dr. Wróblem na czele w sprawie podwyższenia kwaterowego i deputacyę kolejową z nadinspektorem budownictwa p. Weinertem na czele, w sprawie polepszenia bytu techników kolejowych. Po południu zwiedził minister muzeum Czartoryskich, Sukiennice, Muzeum narodowe, Wawel, wyrażając się kilkakrotnie, że Kraków wywarł na nim olbrzymie wrażenie majestatem swej tradycyi. Wieczorem odbył się w salach starego teatru wspaniały bankiet, wydany na cześć ministra przez gminę, a w piątek rano dr Derschatta wyjechał dalej, do Lwowa.

Załączona w uzupełnieniu niniejszego artykułu illustracya przedstawia ministra Derschattę w chwili, kiedy wysiada z powozu przed dworcem kolejowym.



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis.
Pobyt ministra kolei w Galicyi: Odjazd ministra z Krakowa; przed podjazdem dworca krakowskiego wysiada z powozu minister dr. Derschatta (1), obok stoi w mundurze szef sekcyi br. Bahnans (2); w głębi powóz hr. Namiestnika.

Minister w Przemyślu.

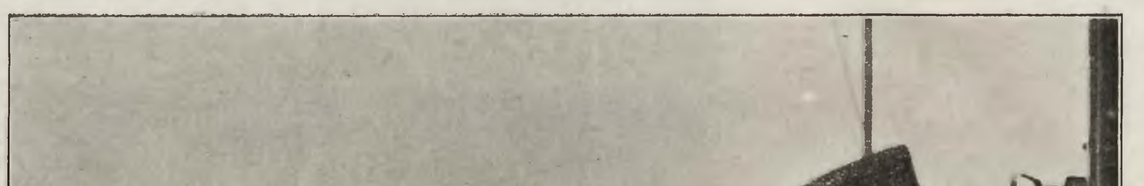
W drodze do Lwowa zatrzymywał się p. minister kolei na większych dworcach, jak w Bochni, Rzeszowie i Tarnowie. Najdłużej zaś zabawił w Przemyślu, dokąd przybył o 1 popołudniu.

Na stacyi powitał go burmistrz przemyski, dr. Doliński, imieniem miasta. Na peronie oczekiwali swego najwyższego przełożonego wszyscy miejscowi urzędnicy kolejowi.

Dr. Derschatta, oprowadzony przez naczelników, zwiedził po kolei dworzec i ogrzewalnię. Dłuższą chwilę poświęcił warsztatom kolejowym, po których oprowadzał go naczelnik warsztatów, radca cesarski, Ludwik Bartelmus.

Minister z przyjemnością zwrócił też uwagę na dobrą orkiestrę, utworzoną z rzemieślników warsztatów kolejowych, oraz na nowozorganizowaną straż pożarną dla obrony budynków kolejowych, a złożoną z samych kolejarzy.

Po spożyciu śniadania, dr. Derschatta, zabawiwszy na stacyi w Przemyślu godzinę, ruszył w dalszą drogę, bezpośrednio do Lwowa.



Fot. dla „Now. Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.
Pobyt ministra kolei w Galicyi: Na przemyskim dworcu kolejowym minister dr. Derschatta (w binoklach, z bródką) rozmawia z burmistrzem miasta Przemyśla, drem Dolińskim.

Minister we Lwowie.

W piątek po południu przybył dr Derschatta do Lwowa. Powitany na dworcu przez przedstawicieli władz państwowych i autonomicznych, minister udał się do dyrekcyi kolejowej. gdzie udzielał posłuchań deputacyom, między innemi urzędnikom kolejowym, robotnikom i rozmaitym funkcyonaryuszom w sprawie polepszenia bytu. Wieczorem był minister w teatrze, a następnie wziął udział w bankiecie, wydanym przez dyrektora Rybickiego w lokalu kasyna narodowego.

W sobotę rano odbył minister przejażdżkę po mieście. Był na placu powystawowym, gdzie zwiedził panoramę racławicką, następnie w parku stryjskim. O godzinie 11 przed południem przybył do gmachu namiestnictwa, gdzie rozpoczął udzielać audyencyi naprzód przedstawicielom władz, następnie stronom prywatnym. O godzinie 1 odbyło się u namiestnika śniadanie na cześć ministra, po którem dr Derschatta udał się na główny dworzec kolejowy, gdzie obejrzał wszystkie ubikacye i dworzec towarowy, poczem specyalnym pociągiem wyjechał na rampę kolejową, przy ul. Żółkiewskiej, wreszcie około piątej po południu powrócił do hotelu Georgea, gdzie stanął kwaterą. Wieczór o godzinie 8 odbył się u marszałka kraj. Stanisława hr. Badeniego obiad na cześć ministra, a o godzinie 11. minut 45 odjechał minister do Czerniowiec.

* * *

Zamieszczona w dzisiejszym numerze illustracya przedstawia chwilę, kiedy p. minister zwiedza rampę kolejową przy ul. Żółkiewskiej.

Powrócił...

Powrócił na scenę lwowską po wielu latach jeden z najsympatyczniejszych jej artystów, Michał Szobert (portrecik na stronie 9).

Ze Lwowem wiążą go węzły rodzinne i wspomnienia młodości — tu bowiem, a rzecz to rzadka u aktora, kończył politechnikę. Więc nie wątpimy, że pan Michał z chęcią przyjął propozycyę dyrektora Hellera do opuszczenia Warszawy, gdzie dziś chyba dobrze nie jest nikomu, a co do artystów tamtejszych teatrów rządowych, to wiadomo powszechnie w jak fatalnych znajdują się od roku stosunkach, w następstwie ogólnego zastoju, od wybuchu rewolucyi.

Na scenie warszawskiej p. Szobert od lat kilku piastował urząd reżyserski, połączony z ciągłemi zajęciami kancelaryjnemi i nie miał czasu na nowe większe role. Mimo to wśród artystów teatru „Rozmaitości" zajmował stanowisko pierwszorzędne, dzięki swemu wielkiemu talentowi. — Artysta to niezwykle wykształcony i kształcący się bez ustanku, pełen temperamentu aktorskiego, obdarzony niepospolitymi warunkami scenicznymi, jak głos wspaniały, potężny w kreacyach tragicznych, dykcya czysta, postawa impo-



Fot. dla „Now. Illustr." Michał Todt w Przemyślu.

Pobyt ministra kolei w Galicyi: Minister dr. Derschatta na peronie dworca w Przemyślu, żegnając się przed wyjazdem z wyższymi urzędnikami kolejowymi, podaje rękę naczelnikowi stacy,i inspektorowi Truszkowskiemu.

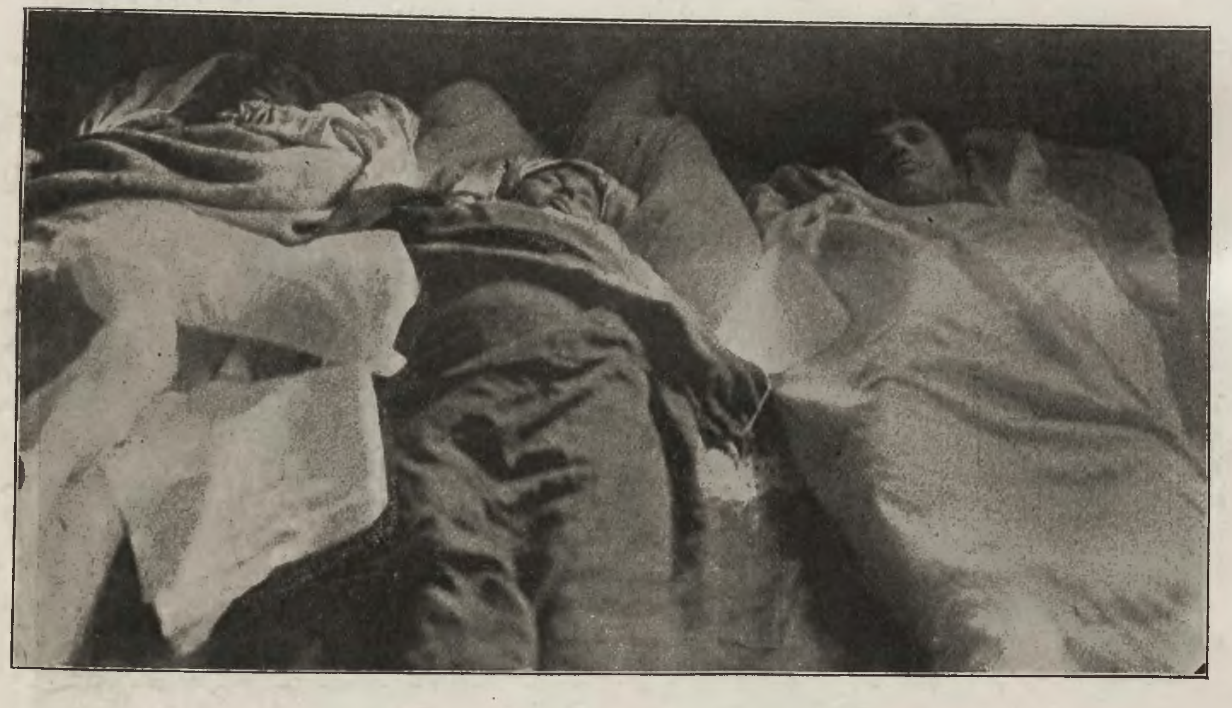


Fot. dla „Now. Illustrowanych" M. Münz we Lwowie.

Pobyt ministra kolei w Galicyi: Dr. Derschatta we Lwowie na słynnej „rampie" kolejowej na Żółkiewskiem, która stoi na przeszkodzie do rozwoju tej dzielnicy, a o której zniesienie od dawna dopominają się mieszkańcy daremnie; chwila wręczania ministrowi przez prezydenta Michalskiego nowego memoryału miasta Lwowa do rządu w tej sprawie.

nująca, a charakterystyczna twarz wyrazista. Repertoar ma bogaty od klasycznego dramatu, aż do farsy — tak bowiem rozległą skalę posiada jego talent.

Dziś p. Szobert pozbywszy się zajęć, które w Warszawie odrywały go od właściwej pracy aktorskiej, będzie znowu z pożytkiem służył scenie lwowskiej, gdzie pozostawił po sobie jak najlepsze wspomnienie z lat młodszych wśród kolegów, krytyków i publiczności.



Z dymem pożarów, z kurzem krwi...: Po pogromie w Siedlcach: Drobna część ofiar. (Zdjęcie na miejscu umyślnego delegata „Now. Illustr.“)

Stracenie rewolucyonistki.

(Do portretu na str. 8).

Głośna w ostatnich tygodniach rewolucyonistka rosyjska Zenejda Konopliannikowa, która pod fałszywem nazwiskiem Zofii Łarionow dostała się do Peterhofu i na dworcu kolejowym zastrzeliła słynnego generała Minna (o czem gdzieindziej piszemy obszernie, mówiąc o „wodzu Siemionowców“), stanęła w tych dniach w Petersburgu przed sądem wojennym.

Do sędziów swoich wygłosiła oskarżona długą mowę, w której, nie wątpiąc, że zostanie bezwarunkowo na śmierć zasądzoną, tłomaczyła powody, dla jakich zabiła generała Minna. Przemówienie jej rewolucyoniści ogłosili drukiem, ale policya odkrywszy tajną drukarnię na wsi, w porę skonfiskowała cały nakład, zanim ulotne wydawnictwo zdołano rozrzucić po Rosyi.

Wyrokiem sądu wojennego zabójczynię Minna skazano na śmierć, poczem przewieziono ją z twierdzy Petropawłowskiej do Szlüsselburga i tam bezzwłocznie powieszono. Podobiznę jej zamieściliśmy na stronie 8.

Zwykłą śmiercią!

(Do portretu na stronie 6).

Zwykłą śmiercią umarł przed kilku dniami w Peterhofie człowiek, o którym tak często w ostatnich czasach obiegały świat pogłoski, że padł ofiarą zamachu rewolucyonistów, iż wreszcie, gdy roztelegrafowano teraz urzędową wiadomość, że życie istotnie zakończył, nikt wierzyć nie chciał, by śmierć jego mogła nie być dziełem zemsty bojowców.

Człowiekiem tym był generał Dymitr Trepow. Umarł, mając lat 50. Był synem oberpolicmajstra Petersburga, znanego z głośnego zamachu Wiery Zasulicz. Ukończywszy korpus paziów, brał udział w wojnie tureckiej. Przed 10 laty został oberpolicmajstrem Moskwy. W 1905 powołano go na generał gubernatora Petersburga i odtąd, skutkiem głośnych wypadków, których był smutnym bohaterem, nie tylko Rosya, ale i świat cały interesował się nim już stale. Trepow został dowódzcą załogi petersburskiej, naczelnikiem żandarmeryi, wice-ministrem spraw wewnętrznych, potem komendantem pałaców cesarskich. W jego ręce złożono bezpieczeństwo osoby monarchy i członków dworu w czasach najniebezpieczniejszych.

* * *

Na kilka dni przed jego śmiercią pisały o nim dzienniki rosyjskie w ten sposób:

Trepow upadł. Nie składa raportów, ze zdaniem jego nikt się nie liczy, nikt już nie zasięga jego opinii w kwestyach polityki wewnętrznej państwa. Stracił wogóle wszelkie wpływy u dworu... I skąd poszło, że tak nagle zbladła gwiazda wszechpotężnego do niedawna faworyta? Trepow okazał się w poglądach swoich nadto liberalnym. Wygląda to pozornie na paradoks, niemniej jest faktem. Że zaś w walce dwóch prądów, jaka od dłuższego czasu toczyła się w sferach dworskich, prąd reakcyjny wziął górę, przeto Trepow, jako obrońca innego wyznania politycznego, musiał ponieść konsekwencye porażki i wysadzony z siodła — ustąpił.

* * *

Historya tej walki jest krótka. Widząc, że represyjna droga walki z rewolucyą nie prowadzi do uspokojenia kraju, Trepow zaczął się skłaniać na stronę poglądów, wyznawanych przez umiarkowany odłam partyi dworskiej. Kiedy na kilka dni przed rozwiązaniem Dumy dyskutowano w Peterhofie, co począć, radzili „nieprzejednani“ rozwiązać Izbę; wtedy Trepow proponował utworzenie ministeryum z pośród działaczy społecznych. Wahano się pewien czas, aż wreszcie zdanie Goremykina osiągnęło przewagę: Dumę rozwiązano, a o gabinecie „społecznym“ mówić przestano. To było pierwsze niepowodzenie Trepowa.

W tydzień później partya reakcyjna, widząc, że ogień rewolucyi szerzy się coraz bardziej, chciała dla zaspokojenia opinii publicznej oddać dwie teki działaczom społecznym. Trepow i jego stronnicy natomiast przypomnieli znowu całkowite ministeryum „społeczne“, pojmując, że tamten projekt połowiczny do niczego nie doprowadzi. Wahano się i tym razem długo, aż Trepow ze swą radą poniósł znowu porażkę. Ale to jeszcze nie podkopało jego wpływów i znaczenia. Aż dopiero kiedy z Rosyi wieści nadchodziły coraz niespokojniejsze, kiedy cały Peterhof mówił tylko o najgwałtowniejszych środkach represyjnych, gen. Trepowowi na jednej z poufnych narad wyrwał się nieoględny frazes, że „stała się niepowetowana szkoda, iż nie został utworzony gabinet z udziałem przedstawicieli społeczeństwa“. To było jego zgubą. Od tej chwili zaczęto go demonstracyjnie usuwać od wszystkiego, co nie miało bezpośredniej styczności z jego obowiązkami komendanta pałaców cesarskich. Wczorajszy dyktator, którego myśli starano się wprost odgadywać, o którego względy wszyscy się ubiegali — stał się zwykłym funkcyonaryuszem administracyjnym, o zakresie władzy ściśle określonej. Był to cios trudny do zniesienia. Niedawny faworyt wszechpotężny zachorował ze zmartwienia. Kilka razy dostał ataku sercowego. Poczem przyłączyły się cierpienia astmatyczne i rychło generał umarł, zanim mógł, jak zamierzał, udać się za granicę dla poratowania zdrowia. Zaiste ironią losu było, że ten najsurow-



Z dymem pożarów, z kurzem krwi...: Po pogromie w Siedlcach: Grono ofiar, fotografowane na miejscu w domu przedpogrzebowym przez umyślnego delegata „Now. Illustr“.

szy propagator terroru umarł w niełasce, uważany za zwolennika rządów konstytucyjnych. Los jego dowodzi, że w Petersburgu dziś na dobre rozpoczął się prąd skrajnie reakcyjny.

Na kilka godzin przed jego śmiercią roztelegrafowano, że Trepow dostał urlop na miesiąc, a zastępować go będzie gen. Orłow. Po śmierci Trepowa następcą jego mianowano Dediulina.

Ta zwłaszcza okoliczność, że śmierć Trepowa nastąpiła nagle (zażywał w domu spoczynku przed obiadem, gdy wtem służący zastał go już nieżywym) przyczyniła się jeszcze bardziej do tego, że nie chcąc wierzyć w możliwość naturalnej śmierci generała, na którego parol zagięli rewolucyoniści, uporczywie powtarzano sobie pogłoski, iż został on prawdopodobnie otruty przez kucharza, należącego pokryjomu do bojowców, Z najpoważniejszych stron jednak stwierdzają, że przyczyną śmierci była *angina pectoris*, na którą Trepow cierpiał pod koniec, a chorobę pogorszyły i katastrofę przyśpieszyły moralne cierpienia ambitnego dworaka, który w chwili, gdy stał u szczytu karjery — upadł niespodziewanie.

Odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki w Samborze.

Świadkiem pięknej i podniosłej uroczystości było w dniu 16 b. m. starożytne miasto Sambor, położone w Galicyi południowo-wschodniej. Zachowało ono w całej pełni, pomimo otoczenia ludnością ruską, jak niemniej zakusów austryackich z doby absolutyzmu, charakter na wskróś polski i stwierdziło to także wzniesieniem bohaterowi z pod Dubienki i Racławic pomnika wśród swoich murów. Pomnik ten, dzieło znakomitego artysty-rzeźbiarza naszego, Tadeusza Błotnickiego, jest prawdziwą ozdobą miasta. Pomnik cały wykuty z białego kamienia pinczowskiego. Figura wielkiego wodza w sukmanie, więcej niż naturalnej wielkości, wyobraża Kościuszkę w chwili składania uroczystej narodowi przysięgi.

Figura wznosi się na smukłym postumencie, dobrze ustosunkowanym z figurą. Dookoła cokołu widnieje napis z trzech jego stron: „Ziemia Samborska — Tadeuszowi Kościuszce — r. p. 1906“. Na czwartej ścianie postumentu widnieje płaskorzeźba wyobrażająca jelenia, będącego herbem miasta Sambora.

Postument opiera się na owalnej ławicy, zakończonej po obu stronach dwoma pylonami zdobnymi u góry zniczami formy starogreckiej, u dołu zaś godłami Orła i Pogoni.

Całość robi bardzo poważne, nieledwie majestatyczne wrażenie.

Święto odsłonięcia pomnika wielkiego bohatera zgromadziło w murach Sambora kilkanaście tysięcy publiczności, pomiędzy temi co najmniej dwa tysiące polskiego włościaństwa z najbliższej okolicy Sambora, skolonizowanej od kilku wieków Mazurami. Przepyszne wrażenie robił pochód olbrzymi, który otwierała kapela lwowskiej „Harmonii“, następnie zaś szły szkoły, cechy, panie, dzieci, towarzystwa, straże ogniowe, wreszcie delegacye Kółek rolniczych, na czele których maszerował oddział dziarskich kosynierów w białych płótniankach, krakuskach i z kosami na sztorc nabitemi.

W czasie odsłonięcia pomnika wygłoszono pięć mów, a mianowicie pierwszy przemówił sędziwy prezes komitetu p. Ludwik Słotwiński, który oddał pomnik miastu; imieniem gminy objął go następnie burmistrz m. Sambora dr Steuerman, trzeci przemawiał imieniem młodzieży p. Wojciech Kostuś, który zapałem swoim porwał formalnie publiczność; następnie przemówił przedstawiciel robotników p. Włoszczyk, wzywając towarzyszy wszystkich trzech dzielnic do organizowania się na gruncie narodowym; zakończył zaś szereg przemówień włościanin Wanaś, a słowa jego zwrócone do braci w siermiędze, ażeby Ojczyznę miłowali i pracowali dla niej w zgodzie i braterstwie, oby do serca całego polskiego ludu znalazły przystęp. U stóp pomnika złożono mnóstwo wieńców, a panie zarzuciły go formalnie kwiatami. Na cześć twórcy pięknego pomnika, artysty rzeźbiarza Tadeusza Błotnickiego, urządził komitet bankiet, podczas którego nadeszło z rozmaitych stron Polski wiele depesz gratulacyjnych. Dla włościan urządzono w Sokole przedstawienie „Kościuszki pod Racławicami“.

Cała uroczystość pozostawiła po sobie niezwykle podniosłe wrażenie.



Z dymem pożarów, z kurzem krwi....: Po pogromie w Siedlcach: Jedna z ofiar na marach. (Zdjęcie na miejscu umyślnego delegata „Now. Illustr“.)

Dowód rozwoju idei Sokolej.

Lwowska Macierz Sokola przeżyła w ubiegłą niedzielę wielce radosną chwilę. Oto założony został kamień węgielny pod budowę drugiego gmachu z drugą salą gimnastyczną. Gmach stanie tuż obok dawnego, frontem do ulicy Sokoła.

Potrzeba budowy nowego gmachu z drugą salą gimnastyczną, świadczy najwymowniej o stałym i ciągłym rozwoju idei sokolej, świadczy o wzroście liczby ćwiczących, co jest objawem ze wszech miar pomyślnym. Tem pomyślniejszym, że Macierz lwowska wydała już ze swego łona trzy filialne gniazda, Sokół II., III. i IV., a każde z tych gniazd ma wsród swoich członków pokaźny zastęp druhów ćwiczących.

Uroczystość niedzielna, uwieczniona na naszej rycinie, rozpoczęła się o 10 rano mszą św. w ko-



Z dymem pożarów, z kurzem krwi....: Po pogromie w Siedlcach: Grono ofiar, fotografowane na miejscu w domu przedpogrzebowym przez umyślnego delegata „Now. Illustr“.

ściele OO. Bernardynów. Przybyli tam prócz drużyn sokolich: namiestnik hr. Potocki, marszałek hr. Badeni, radca dworu Zaleski, członek Wydz. kraj. dr. Jahl, prezydent miasta p. Michalski, grono radnych miasta, a dalej delegacye „Gwiazdy“, „Skały“, straży ogniowej ochotniczej, Tow. uczestników powstania, nadto delegat kolonii budapeszteńskiej p. Ługarskiewicz. Po nabożeństwie udano się na miejsce budowy; tam wzdłuż murów starego gmachu ustawiły się karne zastępy lwowskich gniazd sokolich, obok ołtarzyka zaś zajęli miejsce dygnitarze i Związek sokoli. Uroczystość rozpoczął chór Sokoła i akademicki, poczem wiceprezes Macierzy lwowskiej p. R. Kwiatkowski odczytał pamiątkowy akt fundacyjny, spisany na pergaminie. Akt ten zamknięto następnie w puszce blaszanej i zamurowano. Aktu poświęcenia kamienia węgielnego dokonał druh ks. kanclerz Bilski, który następnie w gorących słowach złożył w swojem i ks. arcybiskupa Bilczewskiego imieniu życzenia dalszego rozwoju Sokołowi. Z kolei przemawiali: prezes Macierzy dr. K. Czarnik i prezes Związku dr. Ks. Fischer, oraz prezydent miasta p. Michalski. Do podniesienia nastroju uroczystości przyczyniła się orkiestra „Harmonii“, która odegrała kilka pieśni narodowych. Na zakończenie tłumnie zebrana publiczność odśpiewała chóralnie „Boże coś Polskę“.



Zdjęcie zakładu fot. „Maryla“ w Samborze
Odsłonięcie pomnika T. Kościuszki w Samborze: Nowy pomnik Bohatera z pod Racławic w Samborze, dłuta Tadeusza Błotnickiego z Krakowa.

Siemionowcy i ich wódz.

Na drugi dzień po bombach w willi Stołypina rozbiegła się wieść o zamordowaniu jen. Minna w Peterhofie. Dla petersburszczan była to wieść równie wstrząsająca, jak i poprzednia. Jen. Minn był dowódzcą najulubieńszego pułku cesarskiego, mianowicie „siemionowskiego“ pułku gwardyi, który zraził sobie opinię rosyjską jeszcze 18 października roku zeszłego, gdy nazajutrz po ogłoszeniu konstytucyi Wittego „siemionowcy“ strzelali do manifestującego radośnie tłumu. Odtąd nie było dnia, żeby prasa, zwłaszcza rewolucyjna, nie wspominała o Minnie.

W grudniu pułk pod dowództwem Minna zapisał się w historyi rosyjskiej stłumieniem powstania zbrojnego w Moskwie. Siemionowcy odpowiadali na kule „rozstrzeliwaniem“ dziesiątków ludzi. Znane są ich krwawe rozprawy na stacyach Perowo i Lubierce. Powróciwszy nad Newę, „siemionowcy“ bojkotowani byli przez „rewolucyę“; na fabrykach robotnicy nigdzie nie przyjmowali do swego grona wysłużonych „siemionowców“, a tych, co wracali na wieś, krewni obrzucać mieli obelgami. Wszystko to był wpływ prasy „rewolucyjnej“.

Podczas tego lata „siemionowcy“ nieraz byli fetowani w Peterhofie. Kilka tygodni temu, sam cesarz z małżonką i następcą tronu, spędzając w ich gronie czas, przemówił do nich, podnosząc ich wierność i wspominał ich czyny w walce w Moskwie. „Najdrożsi moi siemionowcy“ — temi słowy zakończył cesarz mowę.



Zdjęcie zakładu fot. „Maryla“ w Samborze.
Odsłonięcie pomnika T. Kościuszki w Samborze: Komitet budowy pomnika wraz z jego twórcą: od lewej ku prawej: 1. Kühnel, 2. Skulicz 3. Szafran, 4. prezes komitetu Słotwiński, 5. artysta-rzeźbiarz Tadeusz Błotnicki, twórca pomnika, 6. Stefanowski, 7. Kasprzycki, 8. Chrzanowski, 9. Hanusz.



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ M. Münz, Lwów
Dowód rozwoju idei Sokolej: Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę drugiego budynku z salą gimnastyczną dla Sokoła-Macierzy we Lwowie.

Wszystko to drażniło rewolucyonistów. Spiskowcy postanowili zamordować „szefa pretoryanów" w osobie jen. Minna. Nie było to łatwem, bo Minn otoczony był tajną strażą, a przytem zawsze prawie przebywał wśród wojska. Latem mieszkał pod Peterhofem. Kilka tygodni temu zamieszkał w pobliżu, we wsi Lizino, stary człowiek pod nazwiskiem Iwanowa, podając się za pozłotnika. Wesoły i mówny, wszystkim się podobał. Z okien jego widać było willę Asmusa, w której mieszkał jen. Minn. Potem zamieszkała także w tej wsi 27-letnia nauczycielka, Zofia Łarionow, znajoma pozłotnika, którego zaczęła odwiedzać. Podejrzeń oboje nie budzili. Na wieść o zamachu na Stołypina stary Iwanow powiedział do roznosiciela gazet, że zna Stołypina osobiście, gdyż na wsi był jego sąsiadem. Na drugi dzień potem jen. Minn z żoną i córką udał się na stacyę kolejową, aby jechać do Petersburga na przegląd pułku. Panna Łarionow, nieduża brunetka, narzuciła na siebie czarną mantylę i bez kapelusza poszła na kolej, jakby nudząca się na letniem mieszkaniu osoba. Zabrała ze sobą brauninga i niewielką bombę, które ukryła pod mantylą.



Siemionowcy i ich wódz: Zastrzelony na peronie dworca w Peterhofie przez Konopliannikową, rozgłośny generał Minn, dowódca osławionego pułku siemionowskiego.

Jen. Minn z rodziną przeszedł po peronie do ostatniej ławki i usiadł na niej, oczekując na pociąg. Panna Łarionow spacerowała sobie po peronie. Zdaleka ukazał się pociąg. Wtedy przeszła obok jen. Minna, wpatrzonego w zbliżający się pociąg, i podsunąwszy się z tyłu, wystrzeliła mu w plecy cztery razy; piąta kula pomknęła gdzieś w przestrzeń. Jenerał padł na ziemię, z ust mu się pokazała krwawa piana. Rotmistrz Skałon i żandarm pochwycili zabójczynię za rękę i odebrali jej rewolwer. Jakiś student przytem popchnął gwałtownie innego urzędnika, biegnącego do Minna i znikł w wagonach. Minna poniesiono na noszach do stacyi, lecz w drodze zmarł. Aresztowana uprzejmie uprzedziła, że na bliskiej ławie leży bomba, z którą należy ostrożnie się obchodzić. Przybyłym władzom i naczelnikowi ochrony peterhofskiej panna Łarionow oświadczyła, że nie uważa za właściwe udzielać im żadnych wyjaśnień. Gdy przyniesiono kajdany okazały się za duże, więc kajdany obwinięto grubym szpagatem. Działo się to wszystko po godz. 8 wieczorem 26 sierpnia, a w nocy aresztowaną wywieziono w wagonie osobnym do fortecy Petropawłowskiej w Petersburgu.

Mówny pozłotnik znikł. Panna Łarionow miała, rozumie się, fałszywe nazwisko. Była to wybitna rewolucyonistka Zenejda Konopliannikowa, o której na innem miejscu, dając jej fotografię, wspominamy dziś z okazyi jej stracenia przed tygodniem.

Napad żołnierzy na urzędnika policyi.

Przed kilku dniami, jak czytamy w dziennikach tamtejszych, zdarzyło się niezwykłe zajście na ul. Miodowej w Warszawie. W nocy około godziny 12 p. W. S., mieszkający na Podwalu, wracał ul. Miodową do domu. W pobliżu cukierni przy ul. Miodowej nr. 4 p. W. S. usłyszał za sobą wołania. Obrócił się więc i spostrzegł 2 wołających na niego żołnierzy, którzy z karabinami szybko się do niego zbliżali. Żołnierze zażądali od p. S. 15 kop., co też bez żadnej trudności otrzymali. P. S. skierował się ku ul. Kapitulnej, żołnierze zaś udali się na ul. Kapucyńską. Wkrótce jednak rozległy się głośne okrzyki, wzywające policyę na pomoc. Zaciekawiony tem p. S. udał się w kierunku krzyków, a wraz z nim z drugiej strony ulicy nadbiegł policyant w towarzystwie 2 żołnierzy. Okazało się, że pomocy wzywał p. Akajomow, redaktor „Policyjnej Gazety", sekretarz naczelny „Warsz. Dniewnika" i urzędnik do szczególnych zleceń przy warszawskim oberpolicmajstrze. Wyjaśniło się, że żołnierze, nie wiedząc z kim mają do czynienia — gdyż p. Akajomow nie nosi munduru — zażądali od niego, podobnie, jak od p. W. S., pieniędzy. Ostatecznie p. Akajomow wraz z żołnierzami i patrolem wojskowym udał się do cyrkułu.



Napad żołnierzy na urzędnika policyi w Warszawie: Urzędnik do szczególnych zleceń przy oberpolicmajstrze, Mikołaj Akajomow, redaktor „Gazety Policyjnej", naczelny sekretarz urzędowego „Warsz. Dniewnika", na którego w tych dniach napadli nocą żołnierze.



Siemionowcy i ich wódz: Znany z bezwzględnego postępowania przy tłumieniu zbrojnego powstania Moskwy, a uchodzący za najwierniejszy w armii rosyjskiej, siemionowski pułk gwardyi; chwila, gdy cesarz Mikołaj II z rodziną przebywa wśród swoich ulubieńców; zdjęcie wykonane na kilka dni przed śmiertelnym zamachem na dowódcę pułku, generała Minna, który w grupie stoi po prawej ręce cesarza (ma krzyż na szyi).

Zamach na prezesa sądu wojennego.

W Warszawie onegdaj, o godz. 10 ej zrana, dorożką parokonną jechał przez plac Ś-go Aleksandra, z Alei Ujazdowskich, w kierunku ul. Brackiej, prezes sądu okręgowego wojennego, generał-major Doroszewski.

Gdy dorożka znalazła się w przesmyku pomiędzy kościołem a wylotem ulicy Wspólnej, z rogu Wspólnej dano do generała Doroszewskiego cztery strzały. Raniony lekko w biodro generał dobył rewolweru i strzelił raz w kierunku uciekających ul. Wspólną napastników, jednocześnie zaś dorożkarz zaciął konie i popędził co koń wyskoczy w ul. Bracką.

Na miejsce wypadku przybyły niezwłocznie patrole z żołnierzy i policyi, przeprowadzono badanie doraźne przypadkowych świadków zamachu, niektóre ulice zamknięto i przechodniów rewidowano. Zarządzenia te nie dały żadnego wyniku. Sprawcy zamachu zbiegli. — Dorożkarz, który wiózł generała Doroszewskiego, ma w dwóch miejscach przestrzelone ubranie. Kule otarły się o niego, nie raniąc go zupełnie.



Zamach na prezesa sądu wojennego w Warszawie: Zdjęcie wykonane dla „Now. Illustr.“ natychmiast po strzałach rewolwerowych, danych do jadącego dorożką przez plac św. Aleksandra, generał-majora Doroszewskiego.

W obronie rękodzieł.

Ustawa przemysłowa austryacka, obowiązująca obecnie rękodzielników, jakkolwiek w duchu liberalnym zredagowana, jest dla rękodzielników wysoce krzywdząca. Toteż celem uzyskania odpowiednich zmian w tej ustawie odbyły się w ciągu ostatnich dwudziestu lat rozmaite wiece ogólno-austryackie i krajowe, między tymi dwa we Lwowie i jeden w Krakowie. Rezultat tej akcyi okazał się pomyślnym, rząd bowiem ułożył projekt nowej ustawy przemysłowej, uwzględniając wiele słusznych żądań, podniesionych na wiecach rękodzielniczych. W szczególności projekt nowej ustawy daje w §§ 37 i 38 ochronę rękodziełu przed gniotącą go konkurencyą konfekcyonistów, oraz w innych paragrafach wprowadza należytą organizacyę stowarzyszeń przemysłowych i rozszerza ich uprawnienie.

Izba posłów, oceniając trudne i ciężkie położenie rękodzielników, projekt rządowy w głosowaniu uchwaliła, mimo agitacyi ze strony konfekcyonistów, dla których zmiany wspomniane są bardzo niewygodne. Obecnie projekt ustawy znajduje się w Izbie panów, która ma sprawę rozstrzygnąć, a że konfekcyoniści w agitacyi swej przeciw zmianie ustawy nie ustają, owszem, coraz silniej ją prowadzą, przeto rękodzielnicy nasi, aby poprzeć słuszne swe żądania wobec Izby panów, zwołali na ubiegłą niedzielę krajowy wiec do Lwowa.

Na wiec ten przybyło kilkaset osób, w tem bardzo wielu delegatów ze wszystkich stron kraju. Wiec poprzedziło uroczyste nabożeństwo w katedrze, do której uczestnicy zjazdu udali się pochodem ze sztandarami cechowymi. Następnie odbyło się zgromadzenie w sali ratuszowej. Przewodniczącym obrano sędziwego rękodzielnika, b. posła i b. radnego p. St. Niemczynowskiego. Referowali pp. Ohly i Mikuliński. Po długiej, bardzo żywej dyskusyi, w której ponownie zrekapitulowano postulaty rękodzielników, uchwalił wiec jednomyślnie rezolucyę z żądaniem do Izby panów, by nie uległa presyi ze strony konfekcyonistów, lecz uchwaliła w zupełności projekt ustawy, zgodnie z uchwałą Izby posłów.

Nadto powzięto szereg innych uchwał, między innemi co do wypracowania planu reformy szkół



Fot. dla „Now. Illustr.“ M. Münz we Lwowie.

W obronie rękodzieł: Na dziedzińcu ratusza lwowskiego. grupa uczestników zjazdu i wiecu krajowego rękodzielników galicyjskich, zwołanego dla poparcia słusznych żądań w obronie rękodzieł, wobec nowej ustawy przemysłowej w Austryi.

zawodowych, co do reorganizacyi ministerstwa handlu na ministerstwo handlu i przemysłu, co do zakładania przez stowarzyszenia przemysłowe instytucyj dla celów ekonomicznych. Przeprowadzenie tych uchwał poruczono lwowskiej Izbie rękodzielniczej, która od szeregu lat staje zawsze na czele najważniejszych spraw rękodzielniczych.

W numerze dzisiejszym pomieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy uczestników wiecu i zjazdu rękodzielników.

Z lwowskiego bruku.

(Sensacye poogórkowe. — Co jest dla mnie największą sensacyą? — Ministrowie w Galicyi i skutek ich wizyty. — Zmiany we Lwowie. — Teatr. — Zmiana recenzentów „Słowa". — Sensacyjna odezwa do patryotycznych Czytelniczek).

Po sezonie ogórkowym ożywił się ruch do tego stopnia, że odrazu zaczęliśmy robić w sensacyach, których nam, zdaje się, nie zabraknie nigdy. Mieliśmy już w pierwszych tygodniach samobójstwa, pojedynki, małżeństwa na próbę, strzelanie z przodu, strzelanie z tyłu, katastrofę kolejową, pęknięcie rury wodociągowej, katastrofę automobilową, złapanie prawdziwego złodzieja przez policyanta, śmierć z grzybów, śmierć z miłości, aresztowanie kolporterów, uwolnienie kolporterów, pożary, Japończyków, teatr papug, atletki damskie, zaręczyny bez posagu i inne sensacye, których nie wyliczyłbym bez pomocy dzienników, protokołów policyi, szpitalów, stacyi ratunkowej i urzędów metrykalnych.

Na sensacye byliśmy zresztą przygotowani po sezonie ogórkowym. Po ogórkach, po tylu ogórkach i po takich ogórkach, zwykle następują sensacye. Ale największą dla mnie sensacyą jest przyjazd do Galicyi dwóch ministrów: kolei i handlu.

Gdyby jakaś odważna Lwowianka była urodziła czworaki, gdyby przy tej sposobności przyszedł na świat młody obywatel o trzech głowach, gdyby dyrektor Schechtel pił „bruderschaft" ze wszystkimi kolporterami aresztowanymi za kolportaż, gdyby namiestnik Potocki śpiewał na lwowskim rynku Czerwony sztandar na trzeźwo, a socyaliści złapali go za nogi i obnosili wśród wiwatów po mieście — to wszystko to nie byłoby dla mnie taką sensacyą, jak przyjazd ministra kolei i ministra handlu do Galicyi.

Nie o ministrów mi chodzi, ale o ich odwagę nadzwyczajną. Wiecznie żalimy się na kolej, na pocztę i na telefony, odgrażamy się, smarujemy w dziennikach i zdawało się że gdyby się tak który odważył pokazać w Galicyi, udusilibyśmy go albo porwali na kawałki, a rozdarte ciało rzucilibyśmy sępom i krukom na żer.

To też z zapartym oddechem czekałem na ministrów. Chciałem już zobaczyć, co z nimi zrobią w Galicyi i co im powiedzą. A co z nimi zrobili i co im powiedzieli — wiecie. Przyjęliśmy ich z honorami, bawiliśmy ich, urządzali obiady i festy i oto nasza zemsta. Niech wiedzą, że jesteśmy gościnni. Nie powiedzieliśmy im nic, bo oni sami wszystko widzieli.

Ma się rozumieć, że stosunki kolejowe, pocztowe i handlowe zmienią się teraz nie do poznania, skutkiem wizyty tych dwu ministrów. Minister kolejowy przyrzekł ogólnikowo, żа dbać będzie o poprawę stosunków, a słowo ministra, to nie byle co. Możemy się więc spodziewać, że odtąd nie będzie ścisku w wagonach kolejowych, nie będzie katastrofy kolejowej, ani bójki z konduktorami o miejsce, o papierosa, o nic. Minister poczt nie przyrzekł wprawdzie wyraźnie, że linia telefoniczna Lwów-Kraków-Wiedeń nie będzie odtąd sześć razy w tygodniu przerwaną, ale przyjął do zatwierdzającej wiadomości, że tak dotychczas było i powiedział, że może to się jakoś jeszcze kiedyś poprawi.

Ale byli u nas obaj i dali tem dowód, że wiedzą o naszem istnieniu. Może to jedyny dowód, ale dobre i to, bo inny minister nie wie nawet, czy Galicya wchodzi w skład Austryi, o ile idzie o jakieś ulepszenia lub wydatki.

Z wyjątkiem ministra skarbu. Ten wie dobrze, że Galicya istnieje, a że jest naszym rodakiem i chce nas w żadnym świetle pokazać, każe nam większej płacić. W Wiedniu zdumieni są ludzie, że jesteśmy tak bogatym krajem, a mamy tak małe wymagania. Nasz honor rośnie tam z dniem każdym i Galicya wyrabia się powoli na koronę krajów koronnych.

Nie chcę kochanych Czytelników nużyć dłużej polityką, dlatego odstawiam na bok wszystkich ministrów, zamykam jeszcze nieotwarty parlament i wracam do Lwowa — niepolitycznego. O tem, co było, niema co pisać, nawet nie o tem, co było a nie zmieniło się wcale. Drożyzna mieszkań, drożyzna artykułów żywności i woda w Radzie miejskiej — jak zawsze. A więc tylko mi zostaje mówić o zmianach.

Naprzód zmiana dyrekcyi teatru. Pan Ludwik Heller znany jest ze swojej energii. Jak plunął w kułak, obejmując teatr, tak nie odpoczywa i nie odpocznie, dopóki będzie jego dyrektorem. Stara się o urozmaicenie nie tylko w personalu, ale i w repertoarze, z którego zrobił istną mozaikę. Ubiegłej soboty otworzył już nawet sezon operowy, byleby ściągnąć gości, którzy z powodu sprzyjającej pogody spędzają jeszcze wieczory pod gołem niebem. I chodzą. Gdyby tylko p. Heller porzucił jeszcze biurokratyczną formalistykę, a całą swoją energię spożytkował wyłącznie dla sztuki, przeciwnicy jego nie mieliby mu z pewnością nic do zarzucenia. Ale siedzi w nim jeszcze biurokrata, materyał na kandydata na namiestnika. O teatrze przyjdzie nam mówić jeszcze nieraz i dlatego na dziś ograniczamy się zanotowaniem, że p. Heller początek zrobił w każdym razie dobry.

Z innych zmian wspomnieć należy o zmianie recenzenta w „Słowie Polskiem". Byli dotąd jego recenzentami panowie Wasilewski i Makuszyński. Pierwszy pisał recenzye rzeczowe z wielką znajomością dramatu, drugi, tj. p. Makuszyński pisywał swoje sprawozdania nie tyle może rzeczowo, ile zajmująco, niemal sympatycznie Gdy pierwszy zyskał mir powagi, drugi wyrobił sobie zasłużoną popularność. Teraz ich miejsce objął pan Jan August Kisielewski, znany i ceniony autor dramatyczny, który zaraz pierwszymi występami udowodnił, że można być bardzo utalentowanym autorem dramatycznym a bardzo nietęgim sprawozdawcą teatralnym. Zwłaszcza ta recenzya o sztuce „W małym domku" jest tak słabą, że nie nadawałaby się nawet do drobnego, nieznanego tygodnika. To nie było sprawozdanie, ale majaczenie. I dlatego nasuwa się pytanie, jaki był cel tej zmiany recenzentów w „Słowie Polskiem", jeśli to nie była zmiana na lepsze i jeśli „Słowo" ma dwóch o wiele lepszych recenzentów własnych, którzy zostali w redakcyi?

Pan Kisielewski powinien dalej pisać dramaty, bo na tem polu może jeszcze dużo zrobić. Ale krytyki polskiej p. Kisielewski nie wzbogaci. Świadczą o tem nie tylko recenzye drukowane w „Słowie Polskiem", ale i poprzednie, drukowane w „Myśli" warszawskiej. Może one są takie bardzo oryginalne, może „w swoim rodzaju" usprawiedliwione, ale trudno uważać je za recenzye dobre. Już lepiej pisze o grze aktorów. Ale to jeszcze nie wszystko. To nawet nie połowa.

Na koniec dla pięknych Czytelniczek sensacyjne ogłoszenie. Oto w poniedziałkowem „Słowie" poszukuje żony jakiś „przystojny kawaler, ostatni potomek prastarego rodu szlacheckiego, pieczętujący się 7 pałkami". Tak pisze dosłownie i dodaje, że panna ma mieć posag od 60 000 kor. Więcej nie zaszkodzi. Ponieważ jest to ostatni potomek prastarego rodu, przeto powinny szan. Czytelniczki zwrócić baczniejszą uwagę na to ogłoszenie. To nie są żarty. Tu chodzi o utrzymanie dynastyi pieczętującej się 7 pałkami. Gdyby tak, uchowaj Boże, nie znalazła się żadna właścicielka 60 000 kor., którаby miała gust dopomódz do utrzymania a raczej do przedłużenia bytu dynastyi o siedmiu pałkach, to gotów prastary ród wymrzeć na ostatnim potomku o 7 pałkach i kraj byłby narażony na ciężką stratę. Dlatego wzywam Was, patryotyczne Czytelniczki, przysyłajcie czemprędzej oferty z fotografiami, przyczem zapewnioną jest „dyskrecya pod parolem szlacheckim". A ten parol jest przecie znanym.

Od Redakcyi.

Druk drugiej części sensacyjnej powieści współczesnej, osnutej na tle zdarzeń prawdziwych przez Bronisława Mazowieckiego, p. t.

„Mateczka"

zaczniemy w następnym numerze.

Z półek księgarskich.

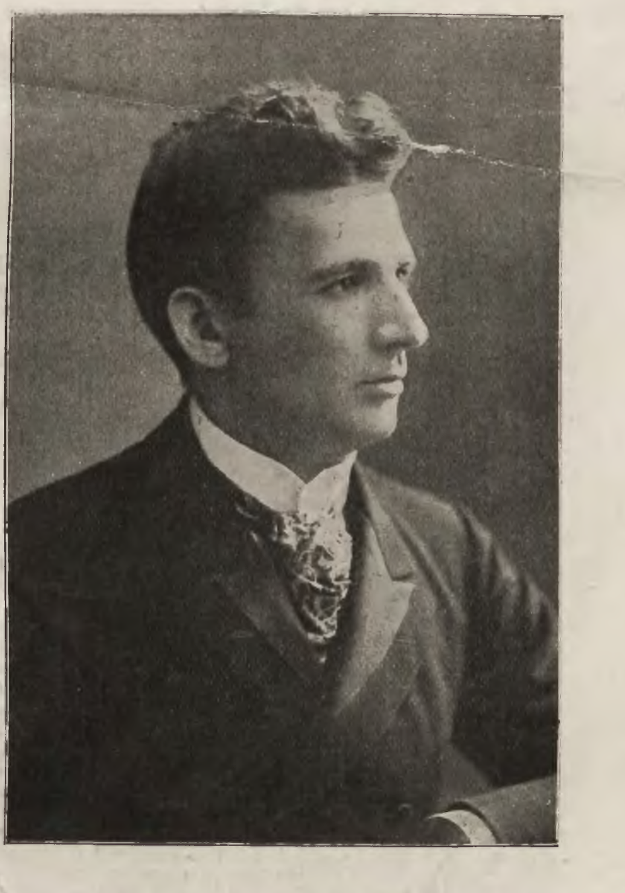
E. W: Choroby a małżeństwo. Pod tym tytułem ukazała się świeżo na półkach księgarskich broszura, która ze względu na ważność przedmiotu, o jakim traktuje, zasługuje na uznanie i zajęcie się nią ogółu. Celem książki, pisanej barwnie i żywo, stylem pięknym, pociągającym szczerością wypowiadanych myśli, jest wykorzenienie, a raczej, nawoływanie do wyzbycia się i wyrugowania ze społeczeństwa tej fałszywej pruderyi, która nie pozwala mówić otwarcie o życiu płciowem. Tajemniczość ta, jaką osłonięte jest u nas stale życie płciowe, staje się powodem, iż setki i tysiące młodzieży zwłaszcza, marnują się wskutek rozlicznych chorób „tajemnych", o których mówić otwarcie nie pozwala obłudna pruderya. Celem wspomnianej książki jest właśnie „otwarcie oczu" społeczeństwu, wykazanie, że choroby weneryczne są chorobami takiemisamemi, jak wszystkie inne, że więc nie są bynajmniej „niemoralne i tajemne", o których mówić „nie przystoi", że choroby te grasują w sposób straszny, że więc niedorzeczną i wstrętną jest ta hypokryzya, w jaką stroi się społeczeństwo w tych sprawach.

Małżeństwo uważa autor — opierajac się na teoryi descedencyi — za ewolucyjnie powstałą, najdoskonalszą formę pojęcia rodzinnego; wykazuje więc całą ohydę i niestosowne sposoby dzisiejszego zawierania małżeństw, w których nie zwraca się najmniejszej uwagi na „dobór płciowy", na dziedziczne obciążenie osobników, na ich zdrowie, jeno na majątek i godności; przedstawia dalej straszne skutki, jakie powodują w małżeństwie choroby konstytucyjne, jak gruźlica, zatrucie ołowiem i rtęcią, alkoholizm, morfinizm i wreszcie choroby weneryczne które autor wyjaśnia na szerokim podkładzie klinicznym. Autor wzywa na końcu do dążenia do czasowej wstrzemięźliwości płciowej nie ze względu jakiej askezy, jeno wprost zdrowia.

Książka pisana jest z fachową znajomością i opanowaniem przedmiotu. Autor nie ma zamiaru ludzi w „czystych" przemieniać i pogrążać ludzkość w kontemplacyi, chce jeno zwrócić uwagę na straszne skutki obwijania w bawełnę popędu płciowego, który przedstawia jako największy dar natury. Książka jego jest z tych względów potrzebną i pożyteczną, powinna więc znaleść najszersze koła czytelników.

Wieczorki dobroczynne w Galicyi.

Krwawe wypadki, jakich od roku przeszło jest widownią Rosya i Królestwo Polskie, zaznaczyły się w Galicyi tłumnym napływem ofiar, które dzięki fatalnemu zbiegowi okoliczności straciły wśród burzy rewolucyjnej całe mienie, ratując jedynie najdroższy skarb, życie. Galicya przyjęła nieszczęśliwych po chrześcijańsku, z miłością, podała im ręce i według sił stara się, aby biedakom ulżyć w niedoli i przynajmniej środków do życia im dostarczyć.



Wieczorki dobroczynne w Galicyi: Wacław Nynkowski, artysta dramatyczny, wyruszający obecnie na prowincyę, celem urządzania przedstawień na dochód ofiar rewolucyi rosyjskiej.

W Krakowie zawiązało się w tym celu specyalne stowarzyszenie „Samopomoc". Zadaniem stowarzyszenia jest wspierać nieszczęśliwe ofiary dziejowej burzy bez względu na ich narodowość, wyznanie i polityczne przekonania. Aby zebrać jak największe na ten szlachetny cel fundusze, członkowie „Samopomocy" pp. Wacław i Marya Nynkowscy, znani zaszczytnie artyści dramatyczni, udają się do większych miast Galicyi, gdzie będą

urządzali przedstawienia na dochód ofiar z Królestwa Polskiego i z Rosyi.

P. Nynkowski, którego fotografię zamieszczamy dzisiaj, ma już w sferach, bliżej się teatrem zajmujących, ustaloną markę. Przez długi czas był jedną z najwybitniejszych sił trupy Myszkowskiego, pracował później na scenie poznańskiej i scenach Król. Polskiego, zyskując sobie poklask ogólny i sympatyę, tak samo, jak i jego żona, p. Marya Nynkowska.

Nie wątpimy, że te „wieczorki dobroczynne“ w Galicyi cieszyć się będą wszędzie ogólnem poparciem ze względu na szlachetny cel.

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

8 7 1 6 2
10 2 5 2 9 10 2
5 4 3 11 2
2 13 4 12 2
10 16 1 2 5 10 15 14 12

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, aby cyfry środkowe utworzyły imię męskie.

Znaczenie wyrazów: 1. Roślina ogrodowa. 2 Stworzycielka świata (według staropogańskich Litwinów). 3. Drzewo szpilkowe. 4. Rzeka w Austryi. 5. Dwa miasta galicyjskie.

Kryptogram.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

×
○ × ○
○ ○ × ○ ○
○ ○ ○ × ○ ○ ○
○ ○ × ○ ○
○ × ○
×

Kółka i gwiazdki zastąpić literami — by gwiazdki czytane w kierunku pionowym dały imię męskie.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Załmek wskazujący. 3. Część głowy. 4. ? 5. Rzeka w Austryi, wpadająca do Dunaju. 6. Rodzaj afrykańskiej papugi. 7. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył Jarosław J.

Z następujących zgłosek: cac, ed, i, ig, ko, ko, ło, mund, na, ni, no, now, ork, ra, sas, ty, tjew, toz, wa, wic, y, za, ze — ułożyć jedenaście wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, a końcowe z dołu do góry utworzą nazwiska dwóch byłych posłów do Dumy z Królestwa Polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Ciemiężyciele ludu. 2. Hrabstwo w Anglii. 3. Obywatel jednego z państw niemieckich. 4 Przyrząd, używany przy wyrabianiu piwa. 5. Miasto w Królestwie Polskiem. 6. Członek rosyjskiej Rady Państwa. 7. Imię męskie. 8. Miasto na Litwie. 9. Pospolite nazwisko rosyjskie. 10 Inaczej zabawka. 11. Imię męskie.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Z podanych liter ułożyć 11 słów w ten sposób, by środkowe litery, czytane z góry na dół, dały nazwisko autora nowel „Różni ludzie“.

a a a a a
a a a b d
d e i i i
j j k k k
k k k l l
ł ł m m ń
o o o o o
ó r r r s
s s s s s
s ś t u w
w y y z z

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak. 2. Rzeka na Węgrzech 3. Imię żeńskie. 4. Miasto w Galicyi. 5. Miasto w Galicyi 6. Żołnierz w Rosyi. 7. Część ciała. 8. Miasto w Rosyi 9. Zwierzę. 10. Ptak. 11. Drzewo owocowe.

Arytmogryf.

Ułożył M. Pfeiffer, Przemyśl.

5
5 12 5
1 8 9 13 6
7 5 12 11 14 16 6
15 2 7 5 12 13 11 4 14
17 12 15 12 8 3 5 9 13 15 5
5 12 9 11 12 3 12 8 9 9 3 16 12
5 12 13 4 9 8 7 12 5 9 5
5 1 18 2 9 16 5 9 12
7 8 19 9 11 4 14
17 16 3 5 14
12 16 13
12

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym kierunku czytane, utworzyły imię i nazwisko znakomitego polskiego malarza.

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Łacińska nazwa ołtarza. 3. Owad. 4 Maszyna, w koło się obracająca. ustawiana zazwyczaj przy przejezdnych panoramach 5 Ksiądz, który jeszcze nie ma probostwa. 6 Przywilej. 7. ? 8. Klasa posiadająca w społeczeństwie. 9. Arena w Panteonie. 10. Polski strój. 11. Koń skrzydlaty. 12. Pierwszy literat polski. 13. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza redakcya **wspaniały tort orzechowy** z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Arytmogryf.

Ułożył Alfred Rotter.

1
13 2 5
14 15 3 7 3
16 7 5 4 16 15 8
17 7 15 17 5 14 9 18 9
6 19 3 8 16 6 2 3 1 20 1
21 15 14 9 6 2 3 1 16 19 3
13 15 8 7 3 4 1 3 14 14 9 8 7 15 4
6 19 3 8 16 6 2 3 1 13 15 8 3 7 6 13 16
1 2 3 4 5 6 2 3 1 1 3 7 8 9 10 11 12 5 13
14 15 4 15 22 9 7 5 3 16 23 3 14 16 11 5 3
13 3 12 16 22 16 9 7 12 1 16 9 14 13 16
12 5 23 22 24 8 19 1 3 12 3
13 3 6 12 19 9 14 3 8 16 3
19 15 7 24 10 2 20 4 25
23 7 15 11 26 20 1
13 3 12 3 10
21 5 13
13

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby cyfry środkowe, w pionowym i poziomym kierunku czytane, utworzyły imię i przydomek króla polskiego, którego pomnik odsłonięto niedawno w katedrze wawelskiej:

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zęby u dzikich zwierząt. 3· Rzeka we Francyi. 4. Tytuł wspaniałego poematu Krasińskiego. 5. Budynek, wzniesiony w Atenach przez Peryklesa, stanowiący wejście do Akropolis. 6. Miasto we wschodniej Galicyi. 7. Pseudonim Kraszewskiego. 8. Tytuł jednego z poematów A. Mickiewicza. 9. Reformator szkolnictwa w XVII. wieku w Polsce. 10. ?. 11. Kraje polskie zabrane przez Austryę 12. Imię i przydomek „króla chłopków“ 13. Imię i ród króla polskiego, panującego na przełomie 16 i 17 wieku. 14. Urząd w dawnej Polsce. 15 Dwa miasta w Polsce. 16. Miejscowość, znana z bitwy w roku 1831. 17 Miasto w Rosyi. 18. Nazwisko niedawno zmarłego posła do Rady państwa w Galicyi. 19. Spółgłoska.

Rozwiązanie zagadek z Nru 36.

Szarady.

I. Napoleon. — II. Kraszewski.

Logogryf.

Lemnos, Epimeteusz, Werona, Weimar, Sonety, Ignacy-Filip. Epikur, cło, intygowiec, nasz-ich. Arystofanes, firmament, amor, Lewkonia, Ifikrates, Kosiakiewicz, Lin, Eustachy, Jad, Naruszewicz, ostatni. Teresa, Dawid, Eisenau wazon. Aramici, Janko, Toledo, Inn, Segesta.

Lew w sieci. — Na fali. – Klejnot. — Dewajtis. — Szary proch. — Straszny dziadunio. — Ona.

Zagadka głoskowa.

Falanga Robert Eurypides, deizm, Robespierze, orkisz.

Fredro. — Zemsta.

Zagadka.

Kalarepa, Kratinos, stolnica, Eustachy. Ernani — ów, Agata — Ida, Brzeżany, Bolesław, Styr, — Cisa, Stefanyk, Eger — Łaba, lewkonia, orenburg.

Artur Grottger. — Pochód na Sybir.

Kryptogram.

J San. Hania, Jan Gall, Skała, ile, I.

Jan Gall.

Logogryf II.

Zagrzeb, absolutnie. meteor, aryston, cytra, Hamlet, niebo, Almanzor, Gabryela, Eurypides, nurek. encyklopedya, Radziwiłł, arsenał, Łubno, Gedymin, unita.

Zamach na generał-gubernatora Skałłona.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Abonent w Długoszynie, B. Ramułtowa Jeżów, K. Fuchs Peczeniżyn, R. Napadiewicz Lwów, T. Domain Sanok, T. Mendys Tarnobrzeg, Znatowicz Dziunków, gub. kijowska, M Małaczyński Pikułowice, A. Funk Komorniki, J. Janowski Zakopane, K. Matuziński Jarosław, S. Śmigielski Lublin, St. Łaszkiewicz Dębica, H. Leligdowicz Fraga, H. Mokrzycka Drohobycz, dr. J. Kasparek Lwów, A. Kopcińska Bukowsko, E. Bogdalska Koropuż, A. Pukalski Andrychów, A. St. Bassara N wiska, J. Gomulińska Bóbrka, H. Ulrych Malin, J. Misiewicz Posłotówka, M. Rożański Gorlice, Tow. „Zgoda“ Krosno, W. Dziewiński Kraków, Fr. Kalita Gawłuszowice, Fr. Niepokój Krosno, Al. Bocsoń Bóbrka, K. Jasiński Kraków, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Weimerowie Nowy Sącz, M. Świtlikowa Rzeszów, M. Cetera Dubiecko, A. Surowiecki Kraków, Fr. Kośmider Nowy Sącz.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. K. Matuziński w Jarosławiu. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).